

KAMENNA KAMENNA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

LUBLIN

31.VIII.1964

Nr 16 (302)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

Przewodniczący Rady Państwa EDWARD OCHAB



PRZEDKŁADAJĄC czytelnikowi niniejszy artykuł muszę wyznać, że przemyślenia nad tym, co napisać, zabrały mi dużo czasu. W każdym razie więcej niż zazwyczaj. Bo sprawa — z punktu widzenia publicysty — rzeczywiście nie jest prosta. To, co ją komplikuje to przede wszystkim mnogość możliwości ujęcia tematu.

Bo można np. wrócić do sprawy od strony wewnętrznych przyczyn klęski wrześniowej i raz jeszcze wykazać, że aczkolwiek klasy posiadające Polski przedwrześniowej nie były świadome do utraty niepodległości, to jednak fakt, że swój interes klasowy utożsamiały z interesem narodowym, z polską racją stanu, musiał w końcu doprowadzić do tego, do czego doprowadził. Musiał — bo strach (właśnie ten klasowy) przed Związkiem Radzieckim uczynił te klasy posiadające — a więc i rządzące — głuchymi i ślepyimi na zagrożające od zachodu niebezpieczeństwo zhitleryzowanego imperializmu niemieckiego.

Można również — i takie ujęcie tematu byłoby także i ciekawe i pożyteczne — skoncentrować się na przyczynach zewnętrznych, które doprowadziły do Września, oznaczającego początek kilkuletniej tragedii polskiej i początek II wojny światowej. Przy takim potraktowaniu rzeczy należałoby przede wszystkim wskazać — a materiału jest tu co niemiara — na fiasko polityki Zachodu, który ubrwał sobie, że folgując imperializmowi niemieckiemu w jego ekspansjonistycznych planach wschodnich doprowadzi w ostatecznym rozrachunku do osłabienia zarówno Niemiec, jak i Związku Radzieckiego, i eo ipso do wzmocnienia bezpieczeństwa oraz roli kierowniczej mocarstw zachodnich. To, co tu napisałem, to tylko wielki skrót myślowy, który — gdyby to właśnie za temat obrać — mógłby się rozrosnąć do okazałych rozmiarów artykułu, zahaczającego bardzo bezpośrednio o aktualną i pod wieloma względami podobną sytuację, kiedy to Niemcy Federalne, przepojone „troską” o bez-

WRZESIEŃ

STEFAN CHANIEC-
CHANACHOWICZ

pieczeństwo świata zachodniego usiłują na wszelki sposób stać się to tarczą, to mieczem tego świata, używając oczywiście tych słów w sensie przenośnym, bo i w wypadku tarczy, i w wypadku miecza mają na myśli nie akcesoria wojownicze z czasów Pieśni o Nibelungach, ale uzyskanie prawa dysponowania bronią nuklearną. I żeby świat zachodni nie gubił się w domysłach, czym jest i czego chce Niemiecka Republika Federalna, b. minister obrony i szef bawarskiej CSU, Franz Joseph Strauss, mówiąc o prawie Niemiec do granic z 1937 r. oświadcza w czasie swej amerykańskiej podróży tamtejszym politykom: „Uprawnione interesy wielkiego narodu, którego większa część, Republika Federalna, jest trzecią po USA i Związku Radzieckim potęgą gospodarczą na świecie, a drugą w wolnym świecie i która zajmuje dziś pierwsze miejsce w handlu światowym — uprawnione interesy życiowe takiego narodu nie mogą zostać po prostu pominięte i pogwałcone”. To słownictwo i ten ton są już nam skądś znane, no chociażby...

No tak, ale maluczko, a okazałoby się, że spośród wielu możliwości ujęcia rocznicowego tematu wrześniowego wybrałem właśnie tę i to zaniem jeszcze wykazałem, że tych możliwości istnieje naprawdę wiele. Bo przecież równie dobrze za punkt wyjścia do rozważań wrześniowych może np. posłużyć nowy układ sił na świecie, układ nowy, bo powstały po II wojnie światowej w wyniku —

(Dokończenie na str. 9)

EDWARD OCHAB urodził się w 1906 r. w Krakowie. W 1925 r. również w Krakowie skończył Akademię Handlową, a w dwa lata później — wyższe studium spółdzielcze na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Od młodości był związany z ruchem rewolucyjnym, wstąpił w szeregi KPP. Partia powierzała mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Został członkiem Egzekutywy Okręgowego Komitetu Związku Młodzieży Komunistycznej Radom — Kielce oraz kierownikiem Wydziału Agitacji i Propagandy Okręgowego Komitetu KPP w Radomiu. Następnie kierował lewicą związkową w Krakowie i na Górnym Śląsku, pełnił funkcję sekretarza KM KPP w Krakowie.

W 1930 r. został aresztowany w Krakowie i więziony w kazamatkach „Sw. Michała” i „Bastionu”. Niedługo po wyjściu z więzienia — ponownie aresztowany i skazany za działalność rewolucyjną na 4 lata więzienia.

W 1935 r. należał do organizatorów strajków politycznych w Zagłębiu Dąbrowskim, które były wymierzone przeciwko sanacyjnej konstytucji i ordynacji wyborczej.

Edward Ochab stał się jednym z czołowych organizatorów jednolitego frontu działania klasy robotniczej. W 1936 r. kierował strajkiem poważnym włóknarzy łódzkich, który zakończył się ich zwycięstwem. 1 maja tegoż roku organizuje w Warszawie jednolitofrontową manifestację, która była bojowym przeglądem sił proletariatu polskiego. Wkrótce udał się znów do Łodzi, gdzie kierował jednolitym frontem robotników w zwycięskich wyborach do rady miejskiej tego miasta. Następnie działał w Toruniu, Gdyni, Kutnie.

W 1937 r. został znowu aresztowany w Poznaniu i skazany na 10 lat więzienia, w którym przebywał do 1939 roku.

Podczas napaści hitlerowskiej na Polskę wyostał się z więzienia i wraz z innymi komunistami wziął udział w bohaterskiej obronie Warszawy. Po upadku stolicy udał się do Związku Radzieckiego. Jest jednym z organizatorów Związku Patriotów Polskich i jednym z pierwszych oficerów I Dywizji im. T. Kościuszki. Bierze udział w bitwie pod Lenino, przechodził wraz z Armią Polską jej zwycięską drogę po Warszawie. Jako zastępca dowódcy I Armii WP kieruje atakiem na Pragę i walką o sforsowanie Wisły.

W 1944 r. zostaje członkiem KC PPR. Powierzono mu m. in. stanowisko kierownika resortu administracji publicznej PKWN, następnie zostaje ministrem administracji publicznej w Rządzie Tymczasowym. W 1945 r. pracuje jako kierownik Wydziału Propagandy KC PPR.

W latach 1946—1947 zostaje wybrany I sekretarzem KW PPR w Katowicach, a następnie przewodniczącym CRZZ. Przez pewien czas był wiceministrem obrony narodowej.

Od Kongresu Zjednoczeniowego Edward Ochab jest zastępcą członka Biura Politycznego KC PZPR i sekretarzem KC PZPR, a od II Zjazdu Partii (1954 r.) — członkiem Biura Politycznego KC PZPR. W 1956 r. Plenum KC wybiera go na I sekretarza KC PZPR. W następnych latach poświęca się pracy państwowej jako minister rolnictwa, potem wraca do prac w Sekretariacie KC PZPR.

Przez wszystkie kadencje Sejmu, począwszy od KRN, jest posłem.

W 1961 r. Edward Ochab zostaje powołany na stanowisko zastępcy przewodniczącego Rady Państwa, a na nadzwyczajnej sesji Sejmu w dniu 12 sierpnia br. najwyższa reprezentacja narodu powierza mu jednomyślnie zaszczytną godność Przewodniczącego Rady Państwa.

NIE PÓJDZIE W NIEPAMIĘĆ

STEFAN LEW

„Bekanntmachung! Als Vergeltung...“
Ogłoszenie! Jako odwet za dokonany sabotaż dnia 26.11.43 r. przez podpalenie fabryki wozów na Przekopanej rozstrzelano dnia 29.11.1943 r. na podstawie sądu doraźnego osoby wymienione w ogłoszeniu z 1.11.1943 od liczb 6-15, które były przedstawione do ulaskawienia. Podpisano: Der SS — und Polizeiführer im Distrikt Krakau. Oto podane w oryginalnym brzmieniu jedno z ogłoszeń, które wielokrotnie ukazywały się na murach Przemysła w okresie lat okupacji hitlerowskiej. Trudno już dziś wczuć się, zwłaszcza młodszemu pokoleniu, w ówczesną atmosferę jawnie panoszącej się zbrodni. Ilek dramatów kryły w sobie różowe, pokryte tłustym, czarnym drukiem listy zakładników. Osoba umieszczona na liście była już z góry skazana na śmierć.

Ogółem ukazało się na murach Przemysła 5 kolejnych list zakładników. Pierwsza lista ukazała się 1.XI.1943 r., 4 następnie w pierwszym półroczu 1944 r. (15 I, 23 II, 17 V, 19 VI), a z umieszczonych na nich 119 osób uratowało się zaledwie kilka. W ostatnich miesiącach 1943 r. i na początku 1944 r., w obliczu zbliżającego się frontu, wzmożła się akcja sabotażowa na terenie Przemysła i powiatu różnych ugrupowań zbrojnych Polski podziemnej. Okupant rozpoznał w odwet straszliwy terror. Jedną z udanych akcji sabotażowych było zniszczenie pozostającej po niemieckim zarządem fabryki wozów przy ul. Mickiewicza. Akcję przeprowadził patrol dyspozycyjny AK Obwodu Przemysła, w sile pięciu ludzi, na polecenie Komendanta Ośrodka Kedywu przy Inspektoracie Rejonowym AK w Przemysłu. Straty poniesione przez Niemców obliczone są na 1 mln zł. Oddział przeprowadzający akcję na fabrykę wozów w nocy z 25/26 XI 1943 r. nie poniósł żadnych strat własnych w ludziach. W odwet Niemcy rozstrzelali 10 osób z I listy zakładników. Zgineli wówczas: St. Gawel, T. Józefowicz, St. Panczyk, St. Leszczyński, E. Kiełt, J. Rusiecki, A. Paczkowski, O. Grojecki, B. Wrona i A. Kasak. Rozstrzelano ich na miejscu akcji sabotażowej pod murem sąsiedniej posesji. Dziś miejscem tym opiekuje się załoga PZPTMB w Przemysłu, a dla uczczenia tego tragicznego wydarzenia, pracownicy tychże Zakładów ufundowali tablicę pamiątkową. Równie tragiczny w skutkach był udany zresztą zamach na konfidenta gestapo Szajnę, dokonany w dn. 28. XII 43 r. W noc sylwestrową 1943 r. rozstrzelali hitlerowscy oprawcy na tzw. „Majym Ryneczku” przy ul. Poniatowskiego dalszych dziesięć osób z I listy zakładników. Zgineli wówczas: Z. Muszakiewicz, G. Husak, M. Hrynkiwicz, M. Hys, A. Tycka, St. Pliś, A. Gawel, Wł. Peczek, K. Rowiński i W. Kulon. Miejsce to również zostało otoczone troskliwą opieką społeczeństwa przemyskiego, a zwłaszcza młodzieży Szkoły Podstawowej Nr 4 w Przemysłu i stanowiły trwały pomnik męczeństwa narodu polskiego.

Straszliwe represje nie zdołały jed-

nak zatrzymać rozwijającej się akcji zamachowej i sabotażowej. Oto w dn. 7 III 44 r. zastrzelony został w Jaworniku Ruskim szczególnie zniechęcony policjant ukraiński Bubczak. Akcja odwetowa Niemców przejawiała się rozstrzelaniem 10 osób z II listy zakładników z dn. 15 I 1944 r.

Jednym z najstraszliwszych aktów terroru była pacyfikacja wsi Kaszyce w powiecie przemyskim 3 III 1943 r. Oto relacja Józefa Mendzela, obecnego kierownika Szkoły Podstawowej w Kaszycach: „Hitlerowcy otoczyli całą wieś, rozpoczęła się straszliwa masakra, od kul oprawców zginęło wówczas 115 mieszkańców wioski, w tym wiele kobiet, starców i dzieci”. Dzisiaj w wiejskim cmentarzu, wśród płaczących brzoź, stoi skromny pomnik — oskarżyciel, odsłonięty w 1963 r., w 20 rocznicę mordu.

Nie ugięło się jednak społeczeństwo przemyskie przed groźbą potwornego terroru. Mnożą się akty dywersji, szczególnie aktywne są okolice Dubiecha, z szeroko rozwiniętym podziemiem zbrojnym ugrupowań BCh. Jedną z akcji — to rozbiście niemieckiej placówki wojskowej i uszkodzenie mostu pod Iskanią przez oddział tzw. „Straży Chłopskiej”. Niestety znów okupione zostało krwią aż 20 zakładników z IV listy śmierci. Ofiary terroru, zakładnicy rozstrzelani w fabryce wozów, na „Ryneczku” lub w innych egzekucjach, grzebani byli w lesie na Lipowcu. W pierwszych dniach po wyzwoleniu rozpoczęła się ich ekshumacja i dziś spoczywają na Cmentarzu Zasańskim.

Osobną kartę stanowi martyrologia Żydów przemyskich. Pierwsze represje w stosunku do ludności żydowskiej rozpoczęły się natychmiast po wkroczeniu hitlerowców do Przemysła. Już w dn. 18 IX 1939 r. rozstrzelano pod murem cmentarza żydowskiego 100 Żydów, a zwłoki przewieziono i zakopano na terenie fortów na Błoniu nad Wiarem. Władze radzieckie po wkroczeniu do Przemysła przeprowadziły ekshumację zwłok i w czasie uroczystego pogrzebu w grudniu 1940 r. przeniesiono je i pogrzebano na Kirkucie. Również na terenie powiatu hitlerowcy przeprowadzili akcję likwidacyjną ludności żydowskiej, już we wrześniu 1939 r. 18 września 1939 r. pod lasem na „Kijowcu” k/Krzywicy rozstrzelano jedenastu Żydów z Krzywicy i Chyrzyny. W nocy 23-24 października 1942 r. rozpoczęła się gehenna. Represje zapoczątkowane zostały utworzeniem getta 19 VII 1942 r. w obrębie ulic Jagiellońskiej, Mniszej, Reymonta i rzeki San. Pierwsza na szeroką skalę rozpoczęła akcja likwidacji Żydów zgromadzonych na terenie getta nastąpiła 27 VII 1942 r. Zginęło wówczas około 1000 osób, przeważnie starców, kalek i dzieci, rozstrzelanych w lesie na Iwanowej Górze, k/przysiółka Helicha pod Przemysłem. Od tego momentu zaczęto już realizować z listy germańską systematycznością planową akcję zacierania śladów zbrodni. Zwłoki pomordowanych na Iwanowej Górze po kilku miesiącach wydobyto i spalono. Podobnie było po

likwidacji w lesie pod Witoszycami, czy na forcie w Łętowni, gdzie w 1942 rozstrzelano masowo Żydów. Po miesiącach zwłoki wydobyto i spalono w specjalnych samochodach-krematoriach. Lecz jeszcze w 1959 r. w czasie penetracji terenu znaleziono na forcie Łętowni szczątki sześciu ofiar, które przewieziono na cmentarz żydowski, spoczęły w mogiłach zbiorowych.

Akcja likwidacyjna getta przemyskiego rozpoczęła się 27 VII 42, trwała nieprzerwanie do września 1943 r. Ukrywających się Żydów wywabiano podstępem z kryjówek, zapewniając, że jeśli się zgłoszą do pracy, pozostaną przy życiu, oraz zabezpieczy im się minimum środków do życia. Oczywiście hitlerowcy nigdy swych gwarancji nie realizowali. W I dekadzie sierpnia 1942 r. zwiabieni w ten sposób Żydzi wszyscy poszli na śmierć, rozstrzelano ich pod murem Kirkutu, gdzie odbyła się pierwsza masowa egzekucja jeszcze w 1939 r. Na cmentarzu żydowskim egzekucje odbywały się bardzo często, a zwłoki po pewnym czasie ekshumowano i palono. W getcie zdarzały się i desperackie akty buntu. Jeden z Żydów w maju 1943 r. rzucił się z nożem na gestapowca Reisnera. Śmiałek oczywiście zginął na miejscu, lecz zdążył gestapowca dotkliwie poranić. W odwet Niemcy rozstrzelali 50 Żydów, a pochowano ich w ogrodzie posesji przy ul. Bohaterów Getta k/Tartaku Bystrzyckiego. Ostateczna likwidacja getta nastąpiła na początku września 1943 r. Ukrywających się Żydów wywabiali Niemcy znanymi metodami, ogłaszając, że wszyscy zgłaszający się zostaną wywiezieni do obozów pracy. Zgłosiło się około 500 osób, które rozstrzelano na podwórzu Szkoły im. Piramowicza przy ul. Kopernika. Zwłoki natychmiast zostały spalane na stosach. W tym miejscu stoi dziś tablica pamiątkowa — fundacja TSKZ w Przemysłu z 1956 r. — głosząca wszem wobec: „Miejsce poświęcone krwią pomordowanych Żydów getta przemyskiego. Masowy mord dokonany został w tym miejscu na 158 Żydach przez zbirów hitlerowskich w latach 1942-1943”.

W getcie pozostało jeszcze około 100 osób dla uporządkowania terenu, z których pierwszą partię liczącą 100 osób wywieziono na zagładę do obozu w Płaszowie, ostatnich pozostałych 80

(Dokończenie na str. 3)

PRZEGLĄD PRASY

P RASA polska ostatnich tygodni poświęcona jest w dużej mierze życiu i działalności zmarłego Przewodniczącego Rady Państwa, Aleksandra Zawadzkiego. Gazety codzienne i niektóre tygodniki zamieściły odezwę Komitetu Centralnego Partii oraz przemówienie Władysława Gomułki nad trumną Zmarłego. Pierwszy sekretarz KC PZPR nakreślił sylwetkę działacza robotniczego, wybitnego rewolucjonisty, któremu przeszło połowa życia w Polsce międzywojennej upłynęła w więzieniu. Ale konsekwentna droga Aleksandra Zawadzkiego doprowadziła go do najwyższych godności w Polsce Ludowej. Znany wszystkim jego bogatą działalność polityczną, mniej wiemy o tym, jaki był na co dzień. Mówił o tym Władysław Gomułka.

Drogę Aleksandra Zawadzkiego — rewolucjonisty kreśli w „Polityce” S. Wygodzki we wspomnieniu pt. „Tak polski i tak klasowy jest ten życiorys”. Rozmaite wspomnienia przychodzą pod pióro, nie może zabraknąć takiego: „W celi, w której przebywałem razem, były godziny przeznaczone nie tylko na naukę, zaludniano czas rozmowami, pogawędkami, opowieściami, głośnym czytaniem, dowcipem, anegdotą. Lubili śmiać się i tym charakterystycznym, trochę kanciastym gestem rąk, gestem mowy, gromadzącym uwagę słuchaczy, jakby dzielili czas, ten nieodczuwany potrzebny na naukę i ten konieczny na racjonalny odpoczynek. I wtedy, ale nie tylko wtedy, widziałem Go nieustępliwego wobec wroga, surowego wobec winnego i serdecznego dla nieporadnego towarzysza. Jeszcze potem, w okresach nielegalności, kiedy wygodniej było udawać, że znany człowiek jest kimś obcym, nie tracił czasu na tworzenie pozorów. To był jeden z tych ludzi, którzy wiedzą, ile jest jeszcze do zrobienia i jak mało jest życia ludzkiego na działaniu”.

W tym samym numerze pisma zawarte są duże fragmenty materiałów z procesu (r. 1938) dużej grupy działaczy komunistycznych z Aleksandrem Zawadzkiem na czele, który był „... znany wydziałowi śledczemu jako jeden z najaktywniejszych”. „Trybuna Ludu” wydrukowała natomiast gryps, wysłany przez Zawadzkiego z więzienia w r. 1925.

Wilhelm Szewczyk we „Wspomnieniu o wojewodzie” drukowanym w „Życiu Literackim” wraca do czasów, kiedy Aleksander Zawadzki był wojewodą śląskim w pierwszych latach powojennych. Prowadził on wtedy swój notatnik podręczny, ujawniony przed dwu laty i fragmentami drukowany w „Trybunie Robotniczej”. Pisze o nim Szewczyk: „Nie wszystko z tego notatnika nadawało się jeszcze do całkowitego opublikowania — w każdym razie to, co powinno było zostać natychmiast ujawnione, okazało się rewelacją, godną najszerzej uwagi nie tylko historyków, ale wszystkich, którym ze względu na własny udział w tamtych wydarzeniach czasy te na zawsze pozostaną bliskie”.

Po latach okazało się, że zapiski te stanowią bezcenny materiał poznawczy do okresu wielkiego twórczego fermentu, do dzieł wielkiej przemiany, ogarniającej cały kraj, w tym przede wszystkim Śląsk ze swą po raz pierwszy wyzwoloną ziemią nadodrzańską, ziemią pełną komplikacji i trudnych specyficznych problemów”. Autor podkreśla szczególnie zainteresowanie wojewody dla tych właśnie spraw najtrudniejszych: repolonizacji całkowitej ludności Śląska. Jest i fragment wspomnienia bliskiego sprawom kultury i literatury: „Zastanawialiśmy się zawsze, jak potrafi on znaleźć czas na lekturę, na teatr, na dyskusje z artystami. A jednak nie było bodaj premiery teatralnej czy operowej, żeby w łożu swej nie śledził skupiony, z kwiatami dla wykonawców, częstowanych zresztą po premierze nie tylko kwiatami, również wytworami, jak na owe czasy, koktajlem, również własnymi uwagami o grze i śpiewie. Istniała wówczas w Katowicach instytucja, którą nazywaliśmy „salonem Zawadzkiego”. W willi reprezentacyjnej przy ulicy Ligonia co pewien czas gromadził wojewoda przy stole biesiadnym aktorów, muzyków, literatów, plastyków i publicystów, czytaliśmy tam nasze nowe wiersze, klębiłyśmy się o pewne artykuły z prasy, słuchaliśmy śpiewu i muzyki. Nie było w tym snobizmu — czuliśmy w tych spotkaniach ogromną troskę o stały kontakt między wszystkimi artystami, o twórcze dyskusje i polemiki. Nieraz w kieszeni generalskiego munduru zikały manuskrypty dopiero co odczytane”.

A refleksja końcowa jest taka: „Do takich wspomnień warto będzie powracać, aby władza ludowa i sztuka trwały jako synonimy stałego współdziałania”.

Pisze również o Aleksandrze Zawadzkiem „Głos Nauczycielski”:

„Również wiele zawdzięcza Mu polska szkoła. Patronował bowiem wielkiej i pięknej akcji Frontu Jedności Narodu — budowie tysiąca szkół na Tysiąclecie. Każdy nowy rok szkolny obfitował w iluzie uroczystości otwarcia setek szkół-pomników. W tych uroczystych chwilach brał często udział Aleksander Zawadzki (...). Pełen szlachetnej pasji i niespożytej energii zachęcał młodzież i nauczycieli do nieustannych wysiłków nad stałym pogłębianiem wiedzy, kultury i świadomości”.

Wiele artykułów poświęconych Aleksandrowi Zawadzkiemu kończy się zwróceniem uwagi na wskazania, jakie dał on swym życiem. Pisze „Tygodnik Kulturalny”:

„Na wszystkich szczeblach, na wszystkich stanowiskach oprócz żarliwości i pracowitości cechowało Go to, co Lenin tak wysoko cenił u komunisty — skromność. Mimo dostojności, zasług i zaszczytów zawsze był z całej duszy robotnikiem”.

Droga tak wypełniona żarliwą pracą działacza spaliła Jego zdrowie. Wytrzymał na niej do końca, do reszty zasobu sił.

Pochylimy sztywny w dniu głębokiej żałoby — a nazajutrz przystąpimy do pracy wzorując się na Jego przykładzie”.

„Kultura” zaś kończy swą wypowiedź tymi słowami: „Pamięć o Nim to dla nas zobowiązanie do stałej troski i umacniania więzi z ludźmi pracy, z codziennym życiem całego narodu. Aleksander Zawadzki pozostawił nam przykład osobisty cenny dla każdego, kto w tym kraju i dla tego kraju chce żyć i pracować”.

T. K.



Fot. mgr S. Lew

Cmentarz Zasański. Mogiła zbiorowa zakładników z I listy śmierci.

Patronanci przekazujemy ze swego zagonu cypriote ofiarom hitlerowskim w latach 1943-1944

GAWEL Stanisław 127
LESZCZYŃSKI Stanisław 115
KATOWICZ Leopold 162
BOBACZYK Władysław 148
TRYCJAŁSKI Józef 125
KURPIEL Franciszek 152
KURPIEL Stanisław 159
GRUBIŃSKI Józef 150
KIEŁT Eugeniusz 171

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Umiał człowiek wierny do końca życia sprawie robotniczej, który potrafił połączyć gorący patriotyzm z proletariackim internacjonalizmem.

Jest faktem znanym, że Aleksander Zawadzki urodził się w rodzinie hutniczej, w Czerwonym Zagłębiu Dąbrowskim pod koniec 1899 r. Wielki pisarz, Stefan Żeromski, w „Ludziach bezdomnych” wysłał zawiadzonego życiem Judyma — właśnie do Zagłębia. Tak bardzo klasowy życiorys dr Tomasz pozwała mu na dostrzeżenie istotnego wówczas problemu Zagłębia: niedy robotników, a chęć poprawy ich doli każe wyrzec się mu szczęścia osobistego. Przypomnijmy, iż pod tekstem „Ludzi bezdomnych” pisarz jako datę ukończenia postawił: jesień 1899 r. I oto rok ten wydał kontynuatora idei społecznikowskich Judyma, a zarazem człowieka, który swą rewolucyjną działalnością wpisał się trwale na karty historii polskiego ruchu robotniczego.

Aleksander Zawadzki już jako trzynastoletni chłopiec, z powodu trudnych warunków bytowych rodziny musiał rozpocząć pracę zarobkową, początkowo jako robotnik w fabryce metalowej w Będzinie, później hucie „Laura” a następnie w kopalni węgla „Paryż” w Dąbrowie Górniczej. Zapewne właśnie wtedy Aleksander Zawadzki młodymi oczyma dostrzegł podobne obrazy trudnego życia górników, jakie niepochoity Stefana Żeromskiego:

„Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroków wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszczą w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich jak pajaki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej zimne łono na „szychtę wieczną”.

Aleksander Zawadzki nie mógł pogodzić się z takim życiem górnika polskiego. Pod wpływem osobistych doświadczeń kształtował rewolucyjne przekonania. W roku 1922 towarzysz Zawadzki wstępuje do Związku Młodzieży Komunistycznej, a w rok później w szeregi KPRP. Przejawia w pracy partyjnej ożywioną działalność, wyróżnia się zdolnościami organizacyjnymi. Nie zabrakło Go w przygotowaniu strajku robotników Zagłębia Dąbrowskiego. Nastąpiło aresztowanie i skazanie wyrokiem sądowym za działalność polityczną na 6 lat i 8 miesięcy więzienia.

W okresie względnej swobody więziennej uczył towarzyszy ekonomii politycznej. I chociaż w Polsce przedwojennej 11 lat życia spędził w murach więziennych jako więzień polityczny, chociaż tracił zdrowie i śmierć zaglądała Mu w oczy podczas głodówki w więzieniu w Drohobyczu, nie zniechęcił się do pracy w organizacji robotniczej,

Pożegnaliśmy prawdziwego Człowieka



był typowym rewolucjonistą tamtych czasów.

Najazd hitlerowski na Polskę zastał Go w twierdzy, w Brześciu nad Bugiem. Po oswobodzeniu więźniów politycznych przez Armię Czerwoną rozpoczyna działalność polityczną, patriotyczną i organizacyjną na terenie ZSRR. Udziałem w bitwie 1942 r. w obronie Stalingradu daje przykład głęboko pojętego internacjonalizmu.

Udział w organizowaniu Związku Patriotów Polskich, działalność w Biurze Komunistów Polskich, w I Korpusie Wojska Polskiego na terenie ZSRR, kierownictwo w Polskim Sztabie Partyzanckim, ukazuje Aleksandra Zawadzkiego jako człowieka głęboko myślącego o sprawach ojczyzny.

Toteż w 1944 r. zostaje mianowany zastępcą Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego. Kwaterował wtedy w Lu-

blinie, brał udział w wiecech i zebrań ludności, prowadził ożywioną działalność polityczną. Wywiad przeprowadzony w „Rzeczpospolitej” z generałem Zawadzki 11 sierpnia 1944 r. świadczył o tym, jak głęboko cenili bojowość polskiego żołnierza, podkreślając jego bohaterstwo w bitwie o Warszawę.

A kiedy spełniły się marzenia Aleksandra Zawadzkiego i zatriumfowały idee, o które walczył, niestrudzenie pełnił niełatwe obowiązki partyjne i państwowe. Wiele godności piastował w Polsce Ludowej, zanim w 1952 r. został wybrany na Przewodniczącą Rady Państwa i wiele po tym.

W 1956 r. objął przewodnictwo Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, w 1961 r. stanął na czele Komitetu Obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego.

A w roku 1964 patronował obchodom Roku Ziemi Lubelskiej.

Jeszcze niedawno Aleksander Zawadzki był gościem mieszkańców Lubelszczyzny. Na początku czerwca 1963 roku brał udział w obchodach 20-lecia pacyfikacji Zamojszczyzny. Odbił szereg spotkań z ludnością. W czasie pobytu na terenie naszego województwa zwiedził również Lublin. Odwiedził robotników FSC, obejrzał miasteczko akademickie, osiedle mieszkaniowe LSM, spotkał się z aktywem FJN, wręczył zasłużonym Lubelszczyźnie odznaczenia państwowe i Odznaki Tysiąclecia. 10 czerwca 1963 r. odwiedził Nałęczów Kazimierz i Puławę. Zainteresował się szczególnie planami budowy kombinatu chemicznego w Puławach. Mimo iż stan zdrowia Aleksandra Zawadzkiego nie był dobry, znalazł na wszystko czas, był pogodny i potrafił się zdobyć na uśmiech dla każdego, kto przebywał w Jego kręgu.

Po raz ostatni tow. Zawadzki wystąpił publicznie na akademii poświęconej XX-leciu Polski Ludowej, nawoływał społeczeństwo do wydajnej pracy dla dobra i siły socjalistycznej ojczyzny. 7 sierpnia przestało bić Jego serce. 11 sierpnia 1964 roku Polska pożegnała Aleksandra Zawadzkiego. Władysław Gomułka na zgromadzeniu żałobnym w Warszawie powiedział: „Aleksander Zawadzki, sprawując najbardziej odpowiedzialne funkcje w partii i państwie, pozostał — aż po ostatnie dni — nie tylko człowiekiem obojętnie niezmiernie prostym i bezpośrednim, ale zachował także głęboką wrażliwość wobec spraw najprostszych, a zarazem najbardziej skomplikowanych — wobec codziennych ludzkich problemów, trosk i trudności. Chciał naprawić każdą ludzką krzywdę, wynagrodzić każdą zasługę, zbadać każdą niejasną czy trudną sprawę, za którą mogła się kryć decyzja o losie człowieka”.

Roman Rosiak

NIE PÓJDZIE W NIEPAMIĘĆ

(Dokończenie ze str. 2)

ludzi spotkał podobny los w Stalowej Woli.

Niemcy starali się zatrzeć wszelkie ślady istnienia Żydów. Systematycznej dewastacji ulegały cmentarze żydowskie. Szajbce — kamienne stelle nagrobne brali Niemcy do brukowania ulic, na innych, których nie zdążyli już wywieźć, zacierali napisy epitafia.

W podobny sposób zniszczony został Kirkut przemyski, między innymi uległy tu zniszczeniu niezwykle cenne i zabytkowe szajbce renesansowe, barokowe, czy późniejsze klasycystyczne.

Po wywołaniu rozpoczęła się masowa ekshumacja zwłok, ofiar hitlerizmu. Na cmentarzu żydowskim w Przemysku pochowano w mogiłach zbiorowych szczątki ofiar rozstrzelanych w Przemysku, Birczy, Kuńkowicach, Grochowcach, Medyce, Stalowej Woli, Lubaczowie i Belzie. Część poniszczonych grobowców została odnowiona, a jeden z nich zdobi pelen symboliki napis:

W czasie gdy ja walczyłem
Ja tę ziemię
Wandale zakłócili Twój spokój
Wybacz im Ojczy. Kuba

Szybko idą w niepamięć miejsca
Straceni mniej masowych. Z trudem

już, przy pomocy miejscowego naczelnego świadka Piotra Kaczora, odszukano miejsce rozstrzelania 16 Żydów huwnickich na Wiarem. Rozstrzelano tu w maju 1942 r. Żydów zatrudnionych w miejscowym tartaku, dla których stworzono nawet niewielkie getto. W czasie prac inwentaryzacyjnych miejsce walki i męczeństwa w powiecie przemyskim z podobną sytuacją spotykałem się w Witoszycach, Krzywcu, Babicach czy Kuńkowcach. Czas jednak robi swoje i wypadki najkrwawszych bestialstw hitlerowców zacierają się powoli w ludzkiej pamięci.

Tereny starych fortów wokół Przemysła Niemcy szczególnie upodobali sobie jako miejsce straceń. Wśród nich zwłaszcza fort w Nehrybce kryje zwłoki około 10.000 jeńców wojennych. Niemcy w pobliskich koszarach w Nehrybce i Pikulicach już w listopadzie 1941 r. stworzyli obozy zagłady. Do kwietnia 1942 r. przebywali tu jeńcy radzieccy, od czerwca 1942 r. do października 1943 r. internowani byli jeńcy wojenni wielu narodowości, między innymi Norwegowie, Holendrzy, Jugosłowianie i Francuzi. Wreszcie od października 1943 r. do marca 1944 r. masowo ginęli w tymże obozie jeńcy włoscy, których internowano, gdy odmówili dalszego udziału w walkach na froncie wschodnim. W maju 1962 r. pod kierunkiem przedstawiciela Głównej Komisji do Badania zbrodni hitlerowskich w Polsce rozpoczęto systematyczne rozkopywanie terenu fortów. Na niewielkiej głębokości ukazały się szkielety z pedanterią ułożonych warstwami ciał. Napotkano przy tym na duże trudności przy ustaleniu choćby w przybliżeniu narodowości denatów. Nie stwierdzono też śladów rozstrzelania. Grzebano tu po prostu nagie ciała ofiar, które zmarły z głodu, wycieńczenia i zimna, co potwierdzają niezliczone naczynia świadkowe, mieszkańcy sąsiedniej Ne-

hrybki i Pikulic. Znalaziono natomiast resztki ekwipunku żołnierzy Wehrmachtu, które być może dla zmylenia i dodatkowego skomplikowania sprawy zostały rozmyślnie podrzucone. Miejsce męczeństwa tak licznej liczby ofiar jest szczególnie predestynowane do upamiętnienia tablicą, a nawet pomnikiem, wzniesionym jeszcze jego międzynarodowy charakter.

Zakończenie wojny w powiecie przemyskim nie oznaczało wcale końca walki i ofiar. Z dnia na dzień zaczęły się szersze akty terroru, napaady i bestialskie mordy na ludność polską, a zwłaszcza na przedstawicieli młodej władzy ludowej, ze strony reakcyjnych i nacjonalistycznych band UPA. Nie sposób w ramach jednego artykułu nakreślić całego przebiegu walki choćby na terenie samego powiatu przemyskiego. Zwrócić jedynie uwagę na miejsca szczególnie zacieklej walk, okupionych krwią nieprzeliczonych ofiar ze strony żołnierzy WP, KBW, partyzantów, funkcjonariuszy MO, UB, ORMO i ludności cywilnej. Obszary południowej części powiatu przemyskiego w latach 1944—1947 były całkowicie pod kontrolą band UPA. W rejonie Posady Rybotyckiej i Fredropola działała sotnia (kompania) Burląka, między Trzciańcem, Jamną i Cisową sotnia Lastwki, a w rejonie Leszczawy Górnej, Brzeżawy oraz Dobrej Szlacheckiej sotnia Hromienki. Wszystkie wchodziły w skład kurenia (batalionu) Bajdy. Dysponowały znaczną siłą ognia, a stan ich szacuje się na około 320—350 ludzi. Doskonale znajomość terenu, pomoc ekonomiczna ze strony części miejscowej ludności oraz powiązanie z cywilną siatką OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów), stwarzały nieograniczone możliwości działania. Miarą bezkarności jest fakt istnienia szkoly podoficerskiej dla odcinka „Lemko” w

Grażowej, na terenie działania sotni Lastwki, a sama sotnia miała charakter kompanii szkolnej.

Szczególnie zacięte walki toczyły się w okolicy miasteczka Birczy, samą Birczę banderowcy dwukrotnie oblegali, lecz zdobyć nie zdołali. W dowód wdzięczności i ku czci poległych żołnierzy i milicjantów społeczeństwo Birczy ufundowało pamiątkowy obelisk, którego odsłonięcie na Rynku miasteczka nastąpiło latem 1962 r. Podobny obelisk ku czci poległych w walce z bandami ORMO-wców stoi na Rynku w Dubiecku, a na tablicy wyryto nazwiska K. Sowa, J. Jasiński, J. Szramowicz, Fr. Kolano, St. Szramowicz, A. Koszycki, M. Daraż, nazwiska siedmiu bojowników o nową władzę sprawiedliwości społecznej.

Przykłady walk, potyczek, rabunków i pacyfikacji ludności polskiej można by mnożyć na terenie jednego powiatu przemyskiego, nie mówiąc o reszcie tzw. „Zakierzońskiego Kraju”. Kres zbrodniczej działalności położyły dopiero zdecydowane działania wojska i przesiedlenie ludności w ramach akcji G. O. „Wisła”.

Przemierzając dziś Cmentarz Zausański czy Cmentarz Wojskowy w Przemysku, cmentarz Birczy, Dubiecka, Babie, oglądamy zbiorowe mogiły i całe kwatery często bezimiennie pochowanych bohaterów walk o utrwalenie władzy polskiej, władzy ludowej — którzy oddali swe młode życie, gdy umilkły już strzały na wszystkich frontach wielkiej wojny. Przypomnienie tych tragicznych chwil dla narodu polskiego jest zawsze na czasie. A że problem jest wciąż żywy, świadczy wymownie debata sejmowa i zatwierdzenie uchwały o wstrzymaniu przedawnienia w ściganiu zbrodni hitlerowskich. Nie mogą pójść w zapomnienie.

Stefan Lew

S Z T U R M NA KARPATENFESTUNG

WITOLD SZYMZYR

BYŁO to dokładnie 20 lat temu. Rankiem 8 września 1944 roku zapowiadał piękny, pogodny dzień, oświetlając wszystko jaskrawym światłem. W jego promieniach błyszczały, doskonale widoczne w artyleryjskich lunetach, kościelne wieże i blaszane dachy Krosna.

— Wajmanje! Agoń!!!

Kończona zgłoska komendy zginęła w huku tysiąca pięciuset dział, które pierwszą salwą artyleryjskiego przygotowania ataku obwieszczały początek długiej i zacieklej walki, najcięższej, największej i najkrwawszej bitwy II wojny światowej na terenie województwa rzeszowskiego. Wzięło w niej udział po obu stronach w sumie przeszło 30 dywizji liczących blisko ćwierć miliona ludzi, 4 tysiące dział i moździerzy, ponad 500 czołgów i setki samolotów.

Walki trwały ponad dwa i pół miesiąca.

Wojska radzieckie i czechosłowackie przesunęły się w czasie ich trwania o 50 km w linii prostej naprzód, wyzwalaając ponad 100 miejscowości polskich i słowackich. Cały południowo-wschodni obszar Rzeszowszczyzny z Krosnem, Rymanowem, Iwoniczem, Duklą, Leskiem i Ustrzykami Dolnymi oczyszczony został z hitlerowskich okupantów.

klinem, ostrzeliwanym z dwu stron przez niemiecką artylerię.

W klan ten weszły za oddziałami pierwszej linii czołgi 25. korpusu pancernego, kawalerzyści generała Baranowa i dwie brygady korpusu czechosłowackiego, które w nocy z 8 na 9 września podeszły pod Wrocankę i Machnowkę. Niebawem miały wejść w kontakt bojowy z nieprzyjacielem.

A tymczasem Niemcy ściągali na zagrożony odcinek dodatkowe siły. Rankiem 8 września nagły alarm poderwał żołnierzy 75. dywizji piechoty stacjonujących w rejonie Ustrzyk Dolnych. Załadowani na opancerzone transportery ruszyli szybko wzdłuż frontu i już w nocy na 9 września wchodzili do akcji pod Krosnem.

Wkrótce po nich przybyły rankiem 9 września czołowe oddziały 1. niemieckiej dywizji pancernej, przerzuconej tu z przyczółka sandomierskiego. Śladem jej pod Krosno ściągano 8. dywizję pancerną z rejonu Tarnowa, część 78. dywizji piechoty ze Słowacji, część 101. dywizji strzelców górskich, 357 dywizję piechoty i luźne pułki z różnych rezerw niemieckich. Przed atakującymi wojskami radzieckiej 38. armii wyrastała nieprzyjacielska przeszkoda, naszpikowa-



Pas przeszkód na granicy w rejonie Baranowa. Żołnierze czechosłowaccy i radzieccy na ryłkach przenosili działa przez te masywy.

wana bronią pancerną, rozlokowana w świetnych dla obrony i trudnych do zdobycia wzniesieniach przeddukielskich.

W tę przeszkodę uderzają pod Machnowką i Wrocanką ostrzelani uprzednio silnie przez niemiecką artylerię żołnierze korpusu czechosłowackiego. Niemcy ruszają do kontrataków, które jednak zostają odparte. Po południu idzie natarcie czechosłowackie na Bóbrkę, wsparte przez brygadę artylerii i kilka czołgów. Wieś zostaje zdobyta, ale dalej niż 2 km na południe posunąć się nie sposób.

Natarcie na Grodzisko. Obserwuje je generał Moskaleńko i przybyły razem z nim dowódca frontu marszałek Koniew. Atakujący idą naprzód, cofają się przed kontratakami przeciwnika, znów ruszają do przodu i tak aż do późnego wie-

czora. Walczą już nie brygady, czy bataliony, ale poszczególne plutony i grupy żołnierzy.

Po prawej stronie Czechów i Słowaków atakują Niemców w lesie pod Chorkówką kawalerzyści gen. Baranowa. Obok 101. korpusu piechoty idzie krok po kroku naprzód, odbijając zaciekle kontrataki niemieckie. Następnego dnia walki toczą się w rejonie Kobyłan, Draganowej i Sulistrowej silnie atakowanych uprzednio z powietrza przez radzieckie szturmowce „Il-2”. Wieczorem 10 września oddziały czechosłowackie dotarły do stoków wzniesienia 534, panującego nad drogą Dukla — Zmińgród i dającego bardzo dogodne warunki do walki temu, kto się na nim

(Dokończenie na str. 5)

Bitwa o Karpatenfestung — twierdzę karpacką — jak nazwali Niemcy swoje rozbudowane na 50 km w głąb umocnienia w rejonie Przełęcz Dukielskiej, rozpoczęła się w specyficznej sytuacji. Na zachodzie alianci walczą we Francji, Belgii, Holandii i we Włoszech. Polska dywizja pancerna gen. Maczka przekracza granicę francusko-belgijską i wyzwala Ypres. Na południowym wschodzie wojska radzieckie rozpoczęły wyzwalamie Rumunii i Bułgarii. Na północy Finlandia zaprzestaje walki. W Polsce front dotarł już do Wisły, za którą toczą się już boje na kilku małych, uchwyconych z marszu przyczółkach. W Warszawie powstańcy bohaterko odpierają ataki wojsk von den Bacha.

W tej sytuacji 29 sierpnia wybuch powstanie w Słowacji. Przedstawiciele emigracji czechosłowackiej zwracają się o pomoc do Związku Radzieckiego. I mimo że wojska radzieckie są zmęczone walkami letniej ofensywy, w której przeszły w bojach setki kilometrów, mimo niepełnych stanów osobowych, zużycia sprzętu i oddalenia od baz zapasowych, dowództwo radzieckie, które uprzednio nie zamierzało atakować przez Karpaty, postanawia przyjąć z pomocą słowackim pobratymcom. Dowódca 1 Frontu Ukraińskiego marszałek Iwan Koniew otrzymuje rozkaz natarcia częścią swych sił w kierunku Przełęcz Dukielskiej i połączenia się z powstańcami. Zadanie to dowódca frontu powierza 38. armii, zajmującej pozycje wzdłuż prawego brzegu Wisłoka na odcinku Sanok — Haczów — Krosno — Wojaszówka. Armia ta dowodził generał pułkownik Kirył Moskaleńko, który dysponuje trzema korpusami piechoty, jednym korpusem pancernym, korpusem kawalerii i czechosłowackim korpusem armijnym.

125 minut bez przerwy były radzieckie i czechosłowackie działa w niemieckie linie pod Krosnem. O godzinie 8.45 rusza naprzód piechota, której towarzyszy 47 czołgów i dział pancernych bezosobnego wsparcia. Atakują żołnierze 52., 101. i 67. korpusów. Ich zadaniem jest zrobić wylom w hitlerowskiej obronie. Przez ten wylom mają runąć naprzód związki szybkie: 25. korpus pancerny, 1. korpus kawalerii gwardii gen. Baranowa i 1. korpus czechosłowacki.

Artyleria i lotnictwo dobrze wykonały swoją pracę. Pierwsza linia niemieckiego oporu była tak przeczesana ich ogniem, że piechota urzeczywiała bez większych trudności. Czołowe oddziały radzieckie posunęły się o 6—12 km naprzód, osiągając wschodni skraj Uderówki i Potakówki, szosę Krosno — Jasło, a na południu rejon Chorkówki i Machnowki. Niestety, nie udało się zdobyć samego Krosna, gdzie Niemcy stawiali silny opór mocno wyczerpanym poprzednimi walkami dywizjom 67. radzieckiego korpusu piechoty. Zaważyło to nieomyślnie na dalszym natarciu, które trzeba było kontynuować wąskim

LATO 1944 roku było suche i upalne. Zamojskie drogi kurzyły się pyłem lessowym. Ludzie, do ostateczności zmęczeni i przerażeni terrorem hitlerowskim, z nadzieją spoglądali na wschód, skąd lada dzień spodziewali się wyzwolenia.

Spalone w wyniku pacyfikacji i wysiedlenia wsie były wyludnione. „Czarń” nasiedleńcy-volksdeutsche z różnych krajów — pod naciskiem partyzantki, która atakowała często skolonizowane przez Niemców miejscowości, i na skutek obawy przed zbliżaniem się frontu, wyjeżdżali, pozostawiając opuszczone gospodarstwa. Czasem pojawiali się wtedy wysiedleni przez hitlerowców rdzenni mieszkańcy, którym udało się uciec z obozu przejściowego lub koncentracyjnego, z transportu czy też z robót w Niemczech. Część z nich trafiała do partyzantki, część w zrujnowanych gospodarstwach próbowała urządzić sobie tymczasowe życie. Jednocześnie nasilała się walka z okupantem, powstała także konspiracyjna Powiatowa Rada Narodowa. Zamojszczyzna przygotowywała się do wyzwolenia.

Nareszcie w końcu lipca Lublin i północna część województwa rzeszowskiego były już zajęte przez wojska radzieckie. Ofensywa Armii Czerwonej i Wojska Polskiego ujęła w kleszcze oddziały niemieckie znajdujące się na umocnionej Ziemi Zamojskiej. Zaskoczeni i przerażeni okupanci przez kilka dni w popłochu i panice opuszczali Hrubieszów, Tomaszów, Zamość i Bilgoraj. Na planową ewakuację już nie było czasu; ostatnim następowały na pięty oddziały radzieckie.

Kiedy wracam myślą do tych pamiętnych chwil, ogarnia mnie i teraz wielkie wzruszenie. Po straszliwych latach ucieku dzień wyzwolenia przyniósł niewysłowioną wprost radość. Jednocześnie odezwał się głód głosem polskiego słowa, swobodnej wymiany myśli, potrzeba usłyszenia własny ojczyzny z katedry, estrady i sceny. Spontanicznie rozkwitł życie kulturalnego w tym okresie był tych tęsknot naturalnym skutkiem. Ludzie, którzy mieli coś do powiedzenia, pragnęli to wyrazić w słowie, w wierszu, w piosenkę.

Nie prowadziłem notatek, nie udało mi się zebrać dostatecznej ilości materiału dokumentarnego o odczytach i występach artystycznych, które w owym czasie szły lawiną jedno po drugim, a na których sale były wypełnione publicznością po brzegi i poza brzegi. Piszę więc z pamięci, ale wrażenia tego okresu są dla mnie tak żywe i niezapomniane, że z łatwością mogę je odtworzyć w tej garści wspomnień.

Do Zamościa przyjechał wtedy Władysław Broniewski na kilka spotkań autorskich. W tej chwili, gdy wspominał to pierwsze spotkanie, rysuje mi się wyraźnie przed oczami osoba poety i jego bezpośrednia, wzruszająca do głębi i porywająca recytacja. Widzę

potężną postać, wspaniałą twarz, przypominającą maskę Beethovena, grzywe szpakowatych włosów i słyszysz szorstki głos, ciskający w oniemiałych słuchaczy słowa, które budzą dreszcz i zachwyty.

Szereg odczytów naukowych na temat ewolucji i pochodzenia człowieka wygłosił profesor Mydlarski. Popularny „paragraf z fajką” — profesor Je-

PO WYZWOLENIU W ZAMOŚCIU

HENRYK SKOTNICKI

rzy Sawicki mówił wiele razy o istocie demokracji, wyjaśniał w swoich prelekcjach przemiany społeczno-polityczne zachodzące w kraju. Z prawie poetyckim odczytem o postawie społecznej przyjechał redaktor Wasowski, ojciec jednego z obecnych „starszych panów” z telewizji.

W Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych odbywały się często wykłady popularno-naukowe i tam właśnie również autor tych wspomnień wygłosił cykl odczytów o budowie wszechświata, materii i o energii atomowej.

Odbywały się także wspaniałe imprezy artystyczne. Występy objazdowego zespołu estradowego Armii Czerwonej z najlepszymi solistami Moskwy i Leningradu — śpiew, recytacje i tańce — zawsze na najwyższym poziomie — pozostawały niezatarte wrażenia. Nieklamany i ogromny entuzjazm budził reprezentacyjny zespół Wojska Polskiego z Bogdanem Paprockim jako solistą.

Rozwinał się także miejscowy amatorski ruch artystyczny. Nastąpił wówczas jak gdyby wulkaniczny wybuch życia kulturalnego. Dość powiedzieć, że w okresie od lipca 1945 do stycznia 1946 roku odbyło się sześć premier teatralnych. Co miesiąc — nowy spektakl! Mówią o nich później zachowane do dzisiaj afisze. 28 lipca 1945 roku wystawiono „Grube ryby” Bałuckiego, 16 września „Mature” Fodora, 23 października „Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej, 4 listopada „Szczęście Franía” Perzyńskiego, 2 grudnia „Adwokata i różę” Szaniawskiego, 20 stycznia 1946 „Ciotkę Karola” Brondona.

Zwiąż działalność rozwinął między innymi teatr „Młodość” pod kierunkiem Haliny Rogińskiej. Niektóre z wymienionych przedstawień przygotowane były właśnie przez ten zespół. Staraniem teatru „Młodość” wiosną

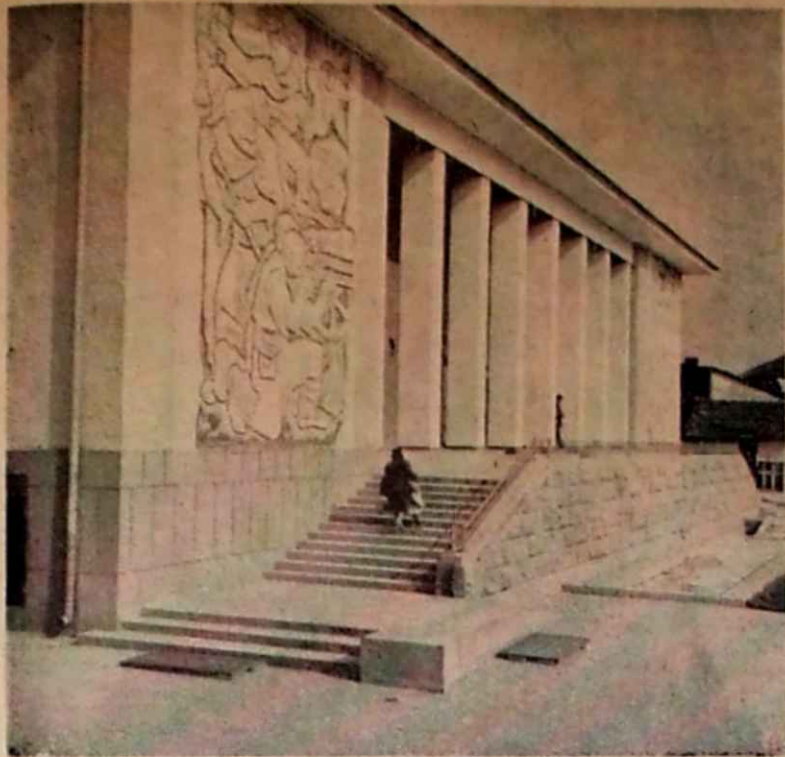
1945 roku zorganizowano międzyszkolny turniej poetycki dla uczniów, a także konkursy recytatorskie. W tym też okresie wystawione zostało pełnospektaklowe widowisko baletowe w wykonaniu młodzieży szkolnej — „Wieszczka lalek” Bayera — przygotowane pod kierownictwem Zofii Wiktorowiczowej. Tylko głód kulturalny społeczeństwa, ogromny entuzjazm amatorów, ofiarna praca reżyserów i scenografów, mogły dać ten prawdziwie imponujący rezultat. Należy przy tym podkreślić, iż działalność ta była najzupełniej bezinteresowna.

Chciałbym wymienić kilka nazwisk, ale jeszcze raz muszę podkreślić, że piszę z pamięci i po latach dwudziestu być może, pominię kogoś zasłużonego. Nazwiska Rogińskiej, Czernickiej, Skarbka, Uklej, Wiktorowiczowej, Lachowicza — ówczesnych reżyserów i scenografów, do których w roku 1946 przyłączył się Brykner, powinny na zawsze pozostać w kronice kulturalnej Zamościa. Niektóre przedstawienia przez nich przygotowane stały na prawdę na wysokim poziomie artystycznym.

Kreacje komiczne stworzone przez Gresztę (Wistowski) i Ukleję (Pagatowski) w „Grubych rybach” wywoływały huragan śmiechu. Adwokat w wykonaniu reżysera sztuki Skarbka z „Adwokata i różę” Szaniawskiego mógłby być wstydu znaleźć się na scenie teatru zawodowego. Stara nauczycielka w „Maturze” grana przez Grestę również była kracją.

W dwudziestym roku istnienia Polski Ludowej możemy powiedzieć, że w okresie dzielącym nas od pamiętnego lipca 1944 roku różnie się działo w Zamościu pod względem życia kulturalnego — dobrze i źle. Nie jest tematem tego wspomnienia omawianie tych spraw, podsumowywanie dorobku i wyciąganie wniosków, jedno jest tylko pewne — entuzjazm nie może gorzeć całe lata, nie może rozkwitać kultura bez odpowiedniej bazy, po prostu samorzutnie. I tutaj niezmiernie i nieodzownie potrzebne są: rada, pomoc, środki materialne oraz dobra, rzetelna wspólna praca, podobnie jak w innych dziedzinach życia społecznego. W niezapomnianych latach bezpośrednio po wyzwoleniu nastąpiła żywiołowa erupcja działalności kulturalnej, opartej na zapale garstki entuzjastów. Czy została ona w pełni wykorzystana i podtrzymana przez kierownictwo kulturalne, miejscowe władze i całe społeczeństwo Zamościa? Odpowiedź pozostawiam tym, do których to pytanie zostało skierowane.

W bieżącym roku, ma być wreszcie oddany do użytku od dawna wyczekiwany Dom Kultury, który Zamościowi jest potrzebny jak chleb powszedni. Odpowiednio kierowany zdola uporządkować życie kulturalne w mieście i powiecie, by przyzwyczaił społeczeństwo do potrzeb kulturalnych, by stały się one codziennymi nawykami. Gdy kultura prowadzi do socjalizmu tak, jak socjalizm prowadzi do kultury.



KULTURA i WIEDZA- CECHA NASZYCH CZASÓW

IWAN KOWACZEW

NIEDAWNO w sofijskiej gazecie, tygodniku „Narodna Kultura” ukazał się ostry, polemiczny artykuł jako apel o szersze przenikanie sztuk plastycznych do wsi bułgarskiej. Autor artykułu krytykuje pewne instytucje za to, że nie robią tego, co jest w ich mocy, aby zakładać dużo więcej galerii malarskich po wsiach — jeden z najpewniejszych sposobów, aby sztuki plastyczne dostały się do tych, dla których zostały przeznaczone. Między krytykowanymi instytucjami znalazła się i Narodowa Galeria Sztuk Pięknych. Zarzuca się jej, że wciąż jeszcze za mało urządza się wystaw obyczajowych na wsi.

Galeria sztuk pięknych na wsi bułgarskiej! Jakżeś nieprawdopodobnie brzmiałoby te słowa w uszach naszych chłopów przed dwudziestu laty.

A dziś?... Trudno nam zestawiać, porównywać. Nie ma już ani jednej dawnej, niedźnej i tonającej w błocie wsi, ani dawnego chłopca, do pewnego stopnia nieuka, w podartych chodakach. Zmieniło się, odnowiło się wszystko. A przede wszystkim zmienił się człowiek — tak mieszkaniowiec wsi, jak i miasta.

„Na 16 Bułgarów — jeden artysta”. Taki tytuł przeczytałem w gazecie organu Związku Pisarzy Bułgarskich „Literaturny Front”. Chodziło tu o rozmach amatorskiej działalności artystycznej. Jak w wielu dziedzinach sztuki, tak i tu, w związku ze zbliżającym się 20-leciem wyzwolenia kraju od faszyzmu organizuje się festiwal krajowy, aby pokazać to, co najlepsze, to co osiągnęła amatorska działalność artystyczna w dziedzinie teatralnej, estradowo-satyrycznej, muzycznej, tanecznej i w dziedzinie plastyki. Co wieczór ponad 420.000 amatorów demonstruje niewyczerpane bogactwo twórczości ludowej. Demonstruje nie na drogach i placach, ale w zalanych światłem domach — pałacach kultury i na wsi i w mieście.

Myśl ta cofa mnie o kilka lat wstecz, do pierwszych lat naszej wolności... Plac „Dzielnego Września” w Sofii wypełniony ludźmi po brzegi. Ogród miejski również. Sąsiednie ulice zamknięte — zwarcie człowiek przy człowieku. Ludzie słuchają. Cały naród bułgarski przemieniał się w słuch... Dochoły głos rozbrzmiewał w głośniejących i padały między nami słowa: „...trzeba osiągnąć za 15—20 lat to, co inne narody, w innych warunkach osiągnęły w ciągu wieku...”

Georgi Dymitrow wzywał Bułgarię do wyścigu z czasem.

A teraz jesteśmy szczęśliwi, że widzieliśmy ten wyścig, że sami wzięliśmy udział w tym wyścigu — marzenia kilku pokoleń przelocowały się w rzeczywistość. Z tą wymarzoną przez nas i stworzoną przez nas rzeczywistością spotkamy radosne dwudziestolecie — Dzielnego Września...

Dziś Bułgaria socjalistyczna produkuje przez 18 dni tyle towarów przemysłowych, ile produkowała dawna Bułgaria w ciągu całego roku.

W pierwszych latach po 9 Września 1944 r. byli prorocy, którzy w historycznym horoskopie „przepowiadali”, że kraj zacofany w dziedzinie kultury i nauki tak jak Bułgaria, nie będzie mógł w tak krótkim czasie uczynić tak ogromnego skoku w swym ekonomicznym rozwoju. Przeliczyli się. Nie zdawali bowiem sobie sprawy, jak nieprzepartą siłę stanowi dążenie do nauki i kultury w każdym narodzie, gdy poczuje się zupełnie wolnym.

Obecnie co do liczby studentów zajmujemy jedno z pierwszych miejsc w świecie. U nas na 10.000 mieszkańców 98 uczy się na wyższych uczelniach, podczas gdy w Anglii — 42, Francji — 50,8, Włoszech — 33,1, Belgii 44,9.

Może komuś wyda się nudny język cyfr, ale jest on tu niezbędny dlatego, że jest konkretny.

Ośmiomilionowa Bułgaria ma 107 instytutów naukowo-badawczych utworzonych przy poszczególnych ministerstwach, komitetach i resortach, przy Bułgarskiej Akademii Nauk i Akademii Nauk Rolniczych.

W naszych szkołach uczy się prawie dwa miliony dzieci i młodzieży.

Nikt nie myśli porzucić szkoły nie ukończywszy jej. Nie jest to wynik surowości, jest to konieczność dla każdego, kto chce wziąć udział w naszej wszechstronnej budowie. Jest to konieczność dla każdego, kto chce żyć kulturalnie w kulturalnym społeczeństwie.

Cyfra dwa miliony nie jest dokładną miarą dążenia naszego narodu ku wiedzy i kulturze. Do niej należy jeszcze dodać kilka milionów: są to mężczyźni i kobiety w różnym wieku, którzy uczęszczają na seminaria, ogniwia szkoleniowe, kursy wszystkich rodzajów i stopni, kółka i systematyczne pogadanki — w świetlicach, w organizacjach politycznych i społecznych, w zakładach przemysłowych i warsztatach, w dzielnicach i we spółdzielniach produkcyjnych — naprawdę miliony ludzi.

(Dokończenie ze str. 4)

znajdował. Tutaj, w bojach o to wzgórze, piechota czechosłowacka krwią serdeczną pisała jedną z najpiękniejszych kart swej historii. Oto co mówi o tym uczestnik walk o wzgórze 534, mieszający obecnie w Hradcu Královem, Petr Štupczuk:

— Niemcy zastosowali wobec nas psychologiczny chwyt. Podczas boju i kontrataków starannie zbierali swoich zabitych, pilnie uważając, by żaden nie został na polu bitwy. Ciała wywozili specjalnymi samochodami na tyły i palili lub grzebali. Miało to deprymująco wpływać na naszych żołnierzy, którzy widząc własne straty, nie napotykałi zupełnie skutku swojego ognia — zaoltych nieprzyjaciół. Nie wiedzieli hitlerowcy, że byliśmy już wówczas zdeterminowani, że śmierć kolegów wzbudzała w nas jeszcze większą nienawiść do wroga, że wreszcie do kraju, do ojczyzny, było jak ręką gniać. Dlatego z taką determinacją szliśmy na wzgórze 534, z którego nie zawsze już udawało się faszystom zabrać swoich poległych.

Wzgórze przechodziło z rąk do rąk, gdyż hitlerowcy bezustannie kontratakowali. Tak było 11, 12 września, kiedy to żołnierze por. Sochora i por. Bičleja dokonywali cudów bohaterstwa, walcząc do ostatniego naboju i bagnietem wyrzucając Niemców z ich stanowisk. Wreszcie osnute dymem, zryte pociskami artylerii i bombami lotniczymi wzgórze zostało w naszym ręku. Hitlerowcy nie pokuszają się już o nie”.

Zdobycie wzgórza 534 oraz powodzenie radzieckich jednostek walczących na prawo od Czechów i Słowaków sprawiło, że w liniach niemieckich utworzyła się na odcinku Łysa Góra — Głojšce 2-kilometrowa wyrwa. W wyrwie tę generał Moskalkenko wprowadził korpus kawalerii gwardii gen. Baranowa, który górkami ścieżkami wyszedł na tyły Niemców w rejon Krempna — Polany i walczył tam przez dłuższy okres.

Hitlerowcy nie chcieli jednak pogodzić się z myślą o przerwaniu drogi Dukli — Zmigród przez wojska radzieckie i rzucili do walki swe czołgi. Raz po raz ruszały z dwu kierunków „Tygrysy” i „Ferdynandy”. 3 niemieckie dywizje pancerne rozpaczyliwie atakowały z 2 stron: od Iwli i od Lysej Góry. Artylerzyści radziecy, piechota 101. korpusu i czołgiści 25. korpusu pancernego dokonywali cudów waleczności. Zgrupowania pancerne walczyły z sobą w minimalnej odległości. Czołg szedł na czołg, ciągle strzelając, a po zużyciu amunicji uderzał taranem i tak w bezpośrednim zwarciu niszczył przeciwnika. Okoliczne wsie zostały doszczętnie zburzone i spalone w ogniu bojów, a cały ten teren miejscowa ludność nazwała „Doliną śmierci”. Jeszcze przed kilku laty sterczały tam wypalone, porzucane kikuty bojowych maszyn i trzeba było wiele saperkiego wysiłku, by usunąć je i rozminować cały teren.

W tym czasie, gdy trwały walki na wzgórzu 534 i w „Dolinie śmierci”, 67. korpus radziecki wyzwolił Krosno i ruszył na południe, wychodząc w rejon Wróbilka Królewskiego. Tutaj też ścignął generał Moskalkenko świeżo otrzymane 59 czołgów i 9 dział pancernych 4. korpusu pancernego, postanawiając uderzyć stąd w kierunku Rymanów — Jaśliśka. Kiedy jednak walki o Rymanów nie dawały rezultatów, przesunięto ciężar uderzenia jeszcze bardziej na wschód w rejon Beska, gdzie walczyła 2. czechosłowacka brygada spadochronowa. Stąd właśnie uderzyły potężnie 18 września 4. i 31. korpusy pancerne, które po zajęciu Rudawki Rymanowskiej szły dalej, tocząc ciężkie walki w górskim, trudno dostępnym dla czołgów terenie. 19 września pancerniacy

Oto dlaczego walczyliśmy o większą liczbę stałych galerii sztuk pięknych. Przeważały spory i o większą ilość wystaw obyczajowych, o większą ilość wyświetlanych filmów (ilość kin zwiększyła się 51-krotnie), o większą ilość spektakli teatralnych (mimo że teatrów mamy już 46, a w 1939 r. mieliśmy 13), o więcej muzyki, książek, czasopism, gazet.

W ostatnich dziesięciu latach wydatki na potrzeby kulturalne rodziny robotniczej w Bułgarii zwiększyły się średnio o 189,9%. Jest to znamienne zjawisko w naszym życiu kulturalnym. Świadczy ono o tym, jak głęboko wkroczyła kultura do życia pracujących, do życia całego narodu.

Kultura i wiedza stanowi charakterystyczną cechę naszych socjalistycznych czasów.

SZTURM na KARPATEN- FESTUNG

dotarli do Tarnawki, gdzie skręcili na zachód, zagrażając zgrupowaniu niemieckiemu w Dukli, 29 września czołgiści 31. korpusu weszli do Dukli równocześnie z oddziałem czechosłowackim atakującym od północy.

Odtąd już natarcie radziecko-czechosłowackie szło wzduż szosy Dukli — Barwinek i przez wzgórze po obu jej stronach. I brygada czechosłowacka zajęła Teodorówkę, walczyła pod wsią i górą Hyrowa. W walce o tę górę odznaczyli się czołgiści czechosłowackiej brygady pancernej, którzy wjechali swoimi maszynami na strome stoiki Hyrowej, wyrzucając z niej Niemców.

23 września rusza z rejonu Trzciany natarcie na Tylawę poprowadzone 40-minutowym ogniem 600 dział i nalotami 107 samolotów. Kiedy uderzyła piechota i czołgi, Niemcy rzucili się do ucieczki, porzucając karabiny maszynowe, działa, a nawet kilka czołgów. O godz. 19 Tylawa była wolna. 24 września nacierające oddziały weszły w kontakt z okrażonym korpusem kawalerii gen. Baranowa, który połączył się znów ze swoimi.

Następny tydzień upłynął na przygotowaniu uderzenia na przełęcz w rejonie granicy. Przygotowania te utrudniały ulewne deszcze, które uniemożliwiały akcję lotnictwa, transport i poruszanie się czołgów oraz dział. Mimo to 30 września znów rozpoczął się szturm. Niemcy pomalutko odchodzili na południe, trzeba było jednak walczyć o każdą pędz ziemi. O zaciętości bojów świadczy fakt, że czechosłowacka brygada pancerna właśnie tu nad granicą straciła wszystkie swoje czołgi. Wreszcie 6 października po uporczywych bojach oddziały czechosłowackie przekroczyły granicę swojej ojczyzny. Z nieopisanym entuzjazmem przekraczali żołnierze próg ziemi rodzinnej, na własnych rękach przenosząc działa przez graniczne zapory i przeszkody i z miejsca ruszając do boju.

Walki radzieckiej 38. armii i 1. korpusu czechosłowackiego nie skończyły się z chwilą przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej. Trwały one na terenie Słowacji do 28.XI.1944, aż do wyjścia nad rzekę Ondawę.

Jeszcze później, w 1945 roku, jednostki czechosłowackie wracały do Polski, by jak np. artylerzyści uczestniczyć w rozpoczęciu ofensywy styczniowej nad Jasłem, czy jak czołgiści i lotnicy — przejść szlak od Krosna do Raciborza, walcząc o wyzwolenie Śląska.

Wprawdzie wojska radzieckie i czechosłowackie nie zdołały połączyć się z powstańcami w Słowacji, to jednak znaczenie bitwy o Przełęcz Duklińską było bardzo poważne. Związała ona znaczne siły niemieckie, odciągając je z terenu Słowacji, jak i z innych odcinków frontu. Ułatwiło to m. in. utrzymanie przyczółka baranowsko-sandomierskiego, ofensywę armii radzieckiej w Rumunii i na Węgrzech. Ponadto z rejonu radzieckiej 38. armii przetranszowano samolotami na tereny objęte powstaniem słowackim 2. czechosłowacką brygadą spadochronową, pułk lotnictwa myśliwskiego oraz wiele broni i amunicji.

Walki o Przełęcz Duklińską uświęciły braterstwo broni żołnierzy radzieckich i czechosłowackich, którzy realizując hasło „Za naszą i waszą wolność”, wyzwolili wiele polskich miast i wsi spod hitlerowskiego jarzma, ugruntując braterstwo i przyjaźń narodów: radzieckiego, słowackiego, czeskiego i polskiego.

Walczący żołnierze podkreślali szczególnie postawę ludności z tych terenów, która, pozbawiona dobytku i dachu nad głową, dzieliła się z nimi ostatnim bochenkiem chleba, opiekowała się rannymi i pomagała w walce przeprowadzając sobie znanymi ścieżkami na tyły wroga.

W uznaniu tego rząd czechosłowacki odznaczył miejscowości: Dukli, Barwinek, Iwla, Odrzykón oraz powiat Krosno pamiątkowym Medalem Duklińskim.

Dziś nad przełęczą wieje porywisty, zwykły tutaj wiatr. Kołysze liście drzew na cmentarzu bohaterów poległych o wolność tych ziem. A obok dźwiga się z gruzów żywotna Dukla, pamiętająca o swych wyzwolicielach. Pamięć ta — przetrwa wieki.

Witold Szymczyk

Przed pierwszym dniem wolności

ELŻBIETA ROSIAKOWA

„Umywalnia w pokoju służbowym” przy piecach krematoryjnych, dopalające się trupy w przedsionku, kości i sypki, biały popiół na rusztach. Baraki opustoszałe, gdzie od progu zaczęły na nas skakać dziesiątki i setki wygłodzonych pcheł, jak czarny mak obrywające buty i spodnie. Olka „wzięła” na dobre dopiero na wielkim śmietniku, tam, gdzie skrwawione szmaty ocierają się o jakąś puderniczkę, rozdarta, ubożuchna perkalkowa sukieneczka sąsiaduje ze strzępem francuskiego jedwabiu, rękaw chłopskiej koszuli z blaszanym guzikiem zcrepił się z wykrochmalonym gorsem”.

Taki obraz Majdanka utrwałała na kartach frontowego notatnika Janina Broniewska, która wraz z towarzyszami przestąpiła bramę wyzwolonego obozu. Dopalające się trupy wskazywały na to, że do ostatniej chwili pobytu hitlerowców pracowała fabryka śmierci. Wydarzenia obozowe roku 1944 były dla wielu więźniów problematyczne. Wiadomości z grypsów i nasłuchów radiowe zapowiadały zmianę, donosiły o niepowodzeniach wojska niemieckiego na froncie wschodnim. Nic też dziwnego, że władze niemieckie postanowiły ewakuować obóz i zatrzeć ślady ludobójstwa. Zaplanowano, iż na terenie Majdanka miało zostać 80 kapów niemieckich i 80 Polaków, inteligentów, jako siły kancelaryjne w poszczególnych biurach. Pozostali więźniowie mieli opuścić teren obozu w dwóch transportach. Pierwszy transport stanowili zdrowi więźniowie, dru-



Widok obozu zlatady na Majdanku z lotu ptaka.

gi słabowici i „szewcy”. Zza drutów więźniowie donosili w grypsach o bliskim wyjeździe, niespokojni o własne życie i kolegów. Toteż Witold Kolodko (pseudonim Zmigród) pisał 9 kwietnia 1944 r. do Saturniny Malmowej (pseudonim Mateczka): „To już ostatnia kartka z Lublina. We wtorek jadę do Oświęcimia — razem z ostatnimi chorymi”.

Natomiast dzielna lekarka Stefania Perzanowska, w grypsie do Janiny Bujwidowej z dnia 10 kwietnia 1944 roku, donosiła:

„Jadę zatem pojutrze według wszel-

kiego prawdopodobieństwa do Oświęcimia, razem z chorymi i częścią personelu. Z początku trochę mnie i nas „zaszkokowało”, ale teraz uspokoiłam się już zupełnie”.

Do transportu przeznaczony był także Stanisław Zelent — postać znana i ceniona wśród więźniów. Dzięki jednak interwencji Jerzego Kwiatkowskiego u Hessla i argumentacji, iż Zelent potrzebny jest jako technik do konserwacji instalacji wodociagowych, uniknął transportu.

W obozie pozostała garstka więźniów, dla których władze 18 kwietnia

1944 r. wprowadziły przymus mundurowy, a więc wszyscy dostali pasiaki. Przez pewien czas wstrzymano przyjmowanie paczek wysyłanych na Majdanek, a także RGO nie mogło przywozić zupy. Jedynie PCK dostał pozwolenie na spisanie nazwisk więźniów pozostałych na Majdanku. Tymczasem już w marcu więźniowie Majdanka ze Związku Orzeł zorganizowali dwie zespołowe ucieczki. Paweł Dąbek, Kazimierz Maliński i Mieczysław Osiński uciekli przez

JEDYNIĘ zasługą natury ludzkiej było zjawisko, że władzom obozowym, mimo ogromnych wysiłków, rzadko udawało się przeobrazić więźnia w zaszczute zwierzę lub bezwolną istotę, pogodzoną ze swoim losem. Mężczy i zgłodniałi ludzie, przypominający szkielety, wykorzystywali wolne chwile na rozmowy i dyskusje polityczne i literackie, opowiadali przeczytane książki, deklamowali, a nawet pisali wiersze. Każdy nowy utwór witalny był z nie mniejszą radością, aniżeli dodatkowy kawałek chleba.

Wiersze nie zawsze wychodziły spod pióra poetów dużej czy nawet średniej miary, a skala ich walorów artystycznych była bardzo rozległa. Miały one zawsze jedną wspólną cechę: była nią wola oderwania się od potwornej rzeczywistości. Gdyby oceniać je obiektywnie w oderwaniu od warunków, w jakich powstały, niejednym z nich nie zasługiwałby na jakąkolwiek uwagę, gdyż poezję przypominały jedynie konwencjonalną formą, rytmem i rytmem. Należy pamiętać, że obóz wpłynął nie tylko na dobór tematyki czy motywów wierszy, ale także na budowę strof i wersyfikację.

Najbardziej popularną poetką na Majdanku była Elżbieta Popowska. Pisała ona wiersze tradycyjne, prawie zawsze ułożone w czterowersiowe strofy. Ta prosta konstrukcja ułatwiała zapamiętanie utworu, co miało ogromne znaczenie wobec niebezpieczeństwa przechowywania rękopisów, a także z uwagi na fakt, że wygłaszano je zazwyczaj w mrocznym baraku, gdzie czytanie byłoby uciążliwe. Posiadanie papieru do pisania i ołówka również nie było rzeczą łatwą.

Zdecydowana większość wierszy Popowskiej ma nawet podobny schemat kompozycyjny. Każdy wiersz można podzielić na dwie części: pierwsza, mocno rozbudowana, stanowi refleksję na temat jakiegoś motywu, przywołującego wspomnienia z wolności, niejednokrotnie nawet z dzieciństwa, a druga — to nagły zwrot do rzeczywistości obozowej. Najczęściej myśli autorki zwrócone ku dawnej, szczęśliwej przeszłości, zawierają motywy zaczerpnięte z przyrody. Świadczą o tym już choćby tytuły wierszy: „Białawki”, „Bociany”. Motywy te, tysiące razy wykorzystywane przez poetów, w twórczości obozowej nabierały pierwotnego kolorytu i potrafiły głęboko wzruszać odbiorców.

Równie liczną grupę stanowią wiersze poświęcone jakimś szczególnym wydarzeniom w obozie lub na wolności (Powstanie w Warszawie, transport, święta Wielkanocy). Dominują w nich elementy opisowe, które sprawiają, że utwory te przypominają zwięzłe, bezpośrednie relacje rozgrywających się wypadków. Oto fragmenty wiersza zatytułowanego „Podróż”:

Jedziemy. Dni parę jesteśmy już w drodze.
Siedzimy, leżymy na brudnej podłodze.
Wypełnia tłum kobiet, okrutnie stłoczonych
Ponure, bez okien, budzące wagony.
W dzień duszno, gorąco, to zimno znów nocą...
W dal toczą się kola... stukają, turkocą...
Już czwarta noc płynie, już pono ostatnia...
Jak los nam rozwiła straszliwą tę matnię?
W sposób podobnie bezpośredni autorka relacio-



nuje nurtujące ją uczucia. Rzadko ucieka się do metaforyki, która jest tu w ogóle bardzo uboga i obraca się wyłącznie w sferze pojęć konkretnych, a ze względu na nieoryginalność i jednoznaczność nie zasługuje na uwagę. Mimo to więźniowie te wiersze głęboko przeżywali i ze wzruszeniem ich słuchali. Dotyczyły zawsze spraw im najbliższych.

Inną poetką obozową była młoda żydowska aktorka, Pola Braun. Pola utwoży swe, pełne lirycznej zadumy i bezbrzeżnego smutku, niechętnie pokazywała innym, a jeśli już zdecydowała się je czytać, czytała tylko w gronie najbliższych osób. Nie miały one nigdy budowy stroficznej ani łatwego rytmu, nie więc dziwnego, że tylko dwa spośród nich przetrwały w pamięci przyjaciół.

W jednym, zatytułowanym „Matka” poetka zastanawia się, jak doszło do takich okrucieństw i dlaczego nikt im nie przeszkodził. Przypuszcza, że gdyby wszystkie matki na całym świecie, bez względu na język, jakim się posługują, solidarnie przeciwstawiły się tylko, wyjeżdżam dziś”.

Drugi wiersz wyraża tęsknotę za Warszawą:

Leżwie tylko w baraku się zamyślę
Wpatrzona w okno, przez mgłę upartych łez,
Wnet o Warszawie myślę i o Wiśle
I tak mi smutno i nie wiem, co mi jest.
A właśnie wczoraj przy kubku czarnej kawy,
Czarnej, jak moja utrapiona myśl,
Ktoś stanął przy mnie: „Daj list do Warszawy,
Pospiesz się tylko, wyjeżdżam dziś”.
Warszawo! Cóż Ci napiszę, Warszawo w gruzach,
Warszawo w krwi,

Rytm Twoich ulic czy znów usłyszę,
Matczyny grodzie, smutno mi.
Pragnę przypaść do gruzu Twoich ulic,
Całować mury, do serca je przylulić.
Hej, grodzie sentymentalny, miasta młodości
i pierwszych drzeń.
Czy wrócę kiedyś na Plac Teatralny
W pierwszy słoneczny, jasny dzień?

Pola Braun nie wróciła do Warszawy. Została rozstrzelana na Majdanku 3 listopada 1943 r. Obok wierszy powstały w obozie piosenki, śpiewane na powszechnie znane melodie. Piosenki te cieszyły się wśród więźniów największą popularnością. Były lekkie, rytmiczne, pełne optymizmu i humoru. Już w dniu przybycia na Majdanek kobiety z transportu warszawskiego ułożyły piosenkę, kiedy

otrzymały pierwszy obozowy posiłek: po miesiącu niesłodzonego naparu z miętą.

Mięty, miętę dano nam,
Czy ją pić, czy się myć,
Już człowiek nie wie sam

Z czasem przybyły dalsze zwrotki. Pełna gorzkiego humoru była również piosenka, śpiewana na popularną melodię (Po kieliszku pierwszym...)

Po miesiącu pierwszym masz się lepiej,
Po miesiącu drugim humor masz,
A po trzecim wolisz: „Obóz krzepi!”
A po czwartym ciągle jeszcze, jeszcze trwasz.

Ponieważ piosenki miały wywierać odpowiedni wpływ na psychikę więźniów, nigdy nie spotykamy w nich nastroju smutku czy rozpacz. Dzięki nim wielu więźniów uniknęło załamania psychicznego i nie utraciło wiary w przetrwanie. Urządzane niekiedy z wielką ostrożnością wieczorki poetyckie pozwalały na pewien czas oderwać się od koszmarniej rzeczywistości i stwarzały poczucie wzajemnej więzi.

Poza twórczością poetycką na Majdanku powstały także prace plastyczne, a nawet kilka rzeźb.

Spośród obrazów zachowało się zaledwie kilka drobnych pasteli i grafik.

Andrzej Janiszek wykonał techniką pastelową malarstwo postaci więźniów i SS-manów, zaś Paweł Linder podjął próbę satyrycznego przedstawienia wielu scen i zjawisk obozowych.

W dziedzinie rzeźby jedynym znanym twórcą posiadającym fachowe przygotowanie był artysta rzeźbiarz Albin Boniecki. Korzystając z upodobań Feldführera III pola do ozdabiania go, zaproszono go do wykonania kilku rzeźb. W ten sposób, w odróżnieniu od innych, Boniecki pracował najzupełniej legalnie i był nawet faworyzowany przez swego mecenasa. Przy współpracy towarzyszy wykonał on kilka rzeźb różnych rozmiarów, a mianowicie: salamandrę, żabę, żółwia, jaszczurę oraz głowicę kolumny z trzema stylizowanymi orłami. Kilka z tych prac posiadało charakter symboliczny, czego naturalnie władze obozowe w ogóle się nie domyślały. Np. jaszczur — gad symbolizował SS-manów, a żółw, symbolizujący hasło „pracuj powoli”, stał się przeciwstawieniem propagowanego w obozach hasła „Arbeit macht frei”.

Najciekawszą historię posiada kolumna z trzema orłami. W fundamencie jej inż. Stanisław Zelent ukrył garść prochów pomordowanych współtowarzyszów, co nadało jej rangę pierwszego pomnika wzniesionego ku czci bohaterów i męczenników Majdanka. Wzbijające się do lotu ptaki trzymają straż nad prochami. Zwiastowały nadchodzącą wolność. Godny podkreślenia jest fakt, że pomnik ten powstał jesienią 1943 r. — w okresie ogromnego terroru w obozie.

Tak więc dzięki tępotnie SS-manów powstawały rzeczy wielkie i małe, najważniejsze jednak, że wpływały one korzystnie na psychikę więźniów i umacniały w nich wolę walki.

druty przecięte przy bramie IV pola, a dziedzińcu więźniów tzw. "czerwonych punktów" uciekło kanałami ściekowymi. Ponadto w marcu 1944 r. 11 więźniów z kapek niemieckim uciekło z podoboju Majdanka przy ul. Lipowej. Poza tym wyjechało także samochodem osobowym trzech więźniów z Fahrereitschaft przebranych w mundury SS-mańskie.

Na opustoszałe pola Majdanka zaczęły przychodzić transporty żydowskie z Bliżyna i Budzyna, a także chłopcy z okolic Chelma, Grabowa, Hrubieszowa i Bilgoraja. Do ludzi, którymi zapelniono baraki majdankowskie, dotarła z pomocą RGO.

Dookoła obozu ustawiono kilka dział artylerii przeciwlotniczej. Mimo iż było kilka nalotów nocnych nad Lublinem, obóz został ominięty. Szosa wiodąca z Chelma do Lublina zapelniona była chłopskimi wozami, na których uciekali Niemcy.

Na Majdanku panowała atmosfera nerwowa, a spod Chelma słychać było ogień artyleryjski. Więźniowie uprawiali kwiatami teren obozu i wykonywali wiele zbytecznych czynności zmierzających do uporządkowania terenu, kopania schronu ziemnego, który nie chronił życia ludzkiego z powodu nielogicznej konstrukcji. Na polu I zaczęto gotować własne jedzenie, w bloku 13 odbywały się orgie pijackie wśród funkcyjnych obozu, a także odwiedziły baraków, w którym mieszkały kobiety. Stosunek hitlerowców do więźniów uległ radykalnej poprawie, stali się łagodniejsi i uważniejsi. Tymczasem na Majdank przyjeżdżały autobusy zapelnione więźniami z Zamku lubelskiego wprost pod krematorium — zacierano ślady ludobójstwa.

Na placu apelowym palono akta i kartoteki głównej Schreibstube. Jak wynika ze wspomnień Jerzego Kwiatkowskiego, o godzinie 13 na teren Majdanka przyjechały wozy z pasiakami, chlebem i kielbasą, a resztki władzy obozowej zapowiedziały ewakuację. Więźniowie przebrali się w pasiaki, je-

dynie chłopcy nie zostali przygotowani do drogi.

Huk dział wyraźnie przybliżał się do Majdanka, w kilku miejscach widać było luny palącego się Lublina.

Więźniów ustawiono piątkami na placu apelowym i Hessel wygłosił przemówienie nawołujące od dyscypliny w czasie marszu, ostrzegł przed ucieczkami.

Zaladowane zostały na wozy akta Politische Abteilung, komendatury rewiru itd. O godzinie 17.50 padł rozkaz wymarszu.

Podobnie przedstawiała się sytuacja w filii obozowej przy ul. Lipowej. Oto, co pisze na ten temat Marcin Gryta, autor książki „Byłem numerem”:

„Na drugi dzień rano — był to 22 lipca 1944 roku — kazano nam spakować wszystkie rzeczy, narzędzia oraz inne akcesoria obozowe zdadne do użytku i szybko zbierać się do podróży.

Nad Lublinem pojawiły się w tym czasie radzieckie myśliwce i co jakiś czas stacjali powietrzne walki z Niemcami. Koło południa samoloty radzieckie opłynęły całkowicie niebo nad naszym miastem”.

Więźniowie z Lipowej szli ulicami Lublina w kierunku Wrotkowa, tworząc 600-osobowy pochód. Później dołączyło się do niego około 1000 więźniów z obozu na Majdanku. Pochód więźniów minął Zemborzycę, Krężnice, by dostać się na szosę wiodącą z Lublina do Kraśnika. Odważniejsi więźniowie uciekali w czasie wędrówki, ze zmiennym szczęściem, w Kraśniku natomiast bardzo pomogli w ucieczkach mieszkańcy miasteczka.

Przerzedzone szeregi więźniów majdankowskich dotarły do Oświęcimia.

Tymczasem na Majdanku — jak pisał Jerzy Putrament w reportażach do „Rzeczypospolitej”:

„Tak się logicznie złożyło, że kiedy zaobito Lublin i wzięto pewną ilość jenców niemieckich, ulokowano ich w barakach Majdanka”.

Elżbieta Rosiakowa

wyższe materiały wzbogacone poprzez wykorzystanie niektórych dokumentów IV Procezu norymberskiego Oswalda Pohla (szefa WVHA), protokołu procesu lubelskiego z 1944 r., szczególnie zeznań Ternesa i Gerstenmeiera, dowodów rzeczowych w postaci pozostawionych włosów i włosianek.

Pierwszym znanym dokumentem nakazującym gromadzenie włosów był tajny rozkaz O. Pohla z dnia 6 sierpnia 1942 r. skierowany do komendantów obozów koncentracyjnych w Dachau, Oświęcimiu i Majdanku. Włosy ludzkie, jak wynika z pisma, są przetwarzane na filc do celów przemysłowych i przede wszystkim do celów wojskowych. Z wyznaczonych włosów kobiecych wytwarza się przedzę wlosianą na skarpetki dla załóg łodzi podwodnych i pończochy filcowe dla kolejnictwa.

W wyniku powyższego rozkazu już od września 1942 r. rozpoczęto ścinanie i magazynowanie włosów. Według meldunków miesięcznych skierowanych do SS WVHA we wrześniu 1942 r. ścięto 30 kg włosów, w październiku 16 kg, w listopadzie 60 kg. Miesiąc grudnia w zestawieniach miesięcznych nie posiada żadnego wpisu.

Z pokwitowania podpisanego przez U-Scharführera Seintera, a zatytułowanego „Haare aus dem Bad”, wiadomo, że włosy ścinano w łaźni i przyjmowano do magazynu.

Ostateczne uregulowanie handlu włosami następuje w styczniu 1943 r. rozporządzeniem podpisanym przez szefa urzędu D II (obozny) Obersturmbannführera Mauera, w którym czytamy: „Z przyczyn technicznych niemożliwe jest na razie zbudowanie fabryki do przeróbki włosów ściętych więźniom. Ścinane włosy muszą być przeto wysyłane do istniejącego zakładu przetwórczego. Zebrane dotychczas włosy należy zatem przesać firmie: Alex Zink Fabryka Filcu — Spółka Akcyjna Roth koło Norymbergi. Za każdy kg włosów należy wystawić rachunek 0,5 marki. Dochód wpisać na konto banku Rzeszy. Wysyłka w surowca jest wolna od wszelkich opłat”. Ostatecznie faktycznym adresem przesyłek z włosami stała się firma Paula Reimanna we Friedlandzie okręg Wrocław, a bezpośrednim odbiorcą — farbiarnia Forst AG Vorm Scherzer s. Hönig.

Wysyłkę włosów pod adresem wymienionej firmy rozpoczęto w lutym 1943 r., nadając 180 kg, zapakowanych w 10 worków. W meldunku miesięcznym do SS WVHA zaznaczono, że



PRACA w obozach koncentracyjnych stanowiła problem nader skomplikowany. Posiadała dwa aspekty. Z jednej strony była poważnym środkiem wyniszczenia materiału ludzkiego, z drugiej zaś — miała służyć zwiększeniu potęgi gospodarczej III Rzeszy.

Praca, uważana powszechnie za środek wychowawczy, od chwili powstania obozów koncentracyjnych była dla więźniów jedynie udręką, środkiem służącym do wyniszczenia psychicznego i fizycznego. Dlatego też bardzo często zmuszano więźniów do wykonywania prac całkowicie nieproduktywnych i bezcelowych. Wypadki te były nagminne we wszystkich obozach. A oto jeden z nich opisany przez byłego więźnia obozu koncentracyjnego na Majdanku, Fr. Jackiewicza: „Kazali wziąć trągi, nasypywać do nich ziemię i przerosnąć z jednego końca na drugi, wzdłuż całego pola. Żeby praca szybciej była wykonywana, kapek siaład na trasę w czołowej dwójce i pędząc okładał pejcem raz jednego, raz drugiego z noszących ziemię wraz z kapek. Ziemi była ogromna góra, w przeciągu kilku dni została przez nas przeniesiona do szczytów, tę samą ziemię z powrotem kazano nosić na poprzednie miejsce”.

W miarę rozwoju wypadków wojennych praca więźniów zaczęła nabierać specjalnego znaczenia. Zostają oni zatrudnieni m. in. w przemyśle zbrojeniowym. Stąd też wypływa „troskliwość” władz, dbających o zachowanie ich zdolności do pracy. Już w końcu 1942 r. zalecano poprawę stanu zdrowotnego więźniów. 20 stycznia 1943 r. Glücks wydał tajny rozkaz do komendantów obozów koncentracyjnych, polecając, aby zmniejszyć śmiertelność więźniów przez wykorzystanie wszystkich dostępnych środków.

Przedsiębiorstwa niemieckie opłacały pracę więźniów komendanturze danego obozu. Ceny te kształtowały się następująco: do 31 grudnia 1942 r. wynagrodzenie dzienne robotnika bez względu na jego kwalifikacje wynosiło 0,30 RM. Od 1 stycznia 1943 r. do 1 lipca 1943 r. za pracę wykwalifikowanego robotnika płacono 1,50 RM, niewykwalifikowanego natomiast — 0,50 RM. Od 1 lipca 1943 r. opłaty te znacznie wzrastają. Place robotnika wykwalifikowanego oceniono na 4 RM, niewykwalifikowanego — 3 RM. Za pracę kobiety płacono stawkę tej wysokości, co za pracę robotnika niewykwalifikowanego.

Dysponentem pracy w obozie było Biuro Pracy, Arbeitseinsatz.

Omawiając pracę więźniów w obozie koncentracyjnym na Majdanku należy zwrócić uwagę na jej specyfikę. Mianowicie: obóz na Majdanku niemal przez cały okres swego istnienia (od listopada 1941 r. do kwietnia 1944) był w stadium budowy. Zatem gros pracy więźniów odnosiło się przede wszystkim do budowy ogrodzenia, dróg, zakładania sieci wodno-kanalizacyjnej i elektryfikacji obozu. Jedynie nieliczni byli wyprawdzani do pracy na teren Lublina.

Więźniowie pracowali w grupach roboczych zwanych komanda, które z uwagi na miejsce pracy dzieliły się na komanda zewnętrzne i wewnętrzne. Wewnętrzne — to te, które pracowały

są to włosy po powtórnym odwżeniu. Kolejne przesyłki wynoszą — 200 kg — w czerwcu, w październiku — 250 kg, w styczniu 44 r. — 50 kg i marcu — 50 kg.

Z powyższego zestawienia widać różnice ilościowego zebrania włosów. Najwięcej zebranych włosów przypada na miesiąc maj 1943 r. — 224 kg. Jest to niewątpliwie sprawa nadejścia do Majdanka dużych transportów więźniarskich. Trzeba tu pamiętać, że więźniowie przybywający z innych obozów i więzień włosów już nie posiadali.

Potwierdzenie wysyłanych włosów z Oświęcimia i Majdanka znajdujemy w raporcie O. Pohla do Himlera, gdzie wśród różnych rzeczy wysyłanych z tych obozów figuruje cyfra 3.000 kg włosów.

Trudno w tej chwili stwierdzić, czy wykorzystane dokumenty obejmują całość dowodów związanych z tego rodzaju gospodarką obozową, jedno jest pewne, że w ogólnym hitlerowskim systemie bandyckiego rabunku nawet włosy więźniów były przedmiotem grabieży i osobliwego przemysłu.

w obrębie samego obozu, zewnętrzne natomiast — tych było niewiele — zatrudnione były w przedsiębiorstwach i zakładach położonych na terenie miasta. Pierwsze z nich strzeżone były przez więźniów funkcyjnych — kapek względnie verarbeiterów, a drugie przez samych uzbrojonych SS-manów.

Charakter danego komanda i jego stan liczbowy zależał od rodzaju wykonywanej pracy. Ogółem na Majdanku pracowało około 200 komand. Praca była bardzo różnorodna. Największa liczba komand — jak już wspomniano — zgrupowana była przy budowie obozu, pozostali zaś zatrudnieni byli w gospodarstwie i w ogrodach obozowych, w różnego rodzaju warsztatach, przy porządkowaniu obozu, sortowaniu rzeczy zagrabionych, obsłudze komór gazowych, paleniu zwłok itd.

Dzień pracy więźnia, bez względu na porę roku i pogodę, zaczynał się o świcie, a kończył dopiero po zapadnięciu zmroku. Nie było tu miejsca na odpoczynek świąteczny. Oto jak relacjonuje przebieg świąt Wielkanocnych w obozie jeden z byłych więźniów, Stefan Wiśniewski: „Zaraz po apelu rannym przyprowadzili kilka komand i nas na pole II... tam ustawili nas jak w kolumny defiladowe wzdłuż całego pola, z jednej strony co kilka metrów stali blockführerzy, z drugiej kapekowie, wszystko z pejcami lub kijami. Na daną komendę: marsz! wszyscy musieli iść na koniec pola, nabrać gruzu do płaszczy i nieść do bramy wejściowej, by wysypać twarogą nawierzchnię oraz dwie ulice wzdłuż całego pola. W marcu popędzali coraz szybciej, a pod południe marsz stał się biegiem, siły już ustępowały, a bez gruzu iść nie można, bo za to bili ile weszło, a choć nosiło się za wolno, to i tak pejcami po głowach waliłi. Południe minęło, a praca nie ustawała, coraz częściej kogoś bili, coraz więcej padało po drodze, już i wieczór i tak bez jedzenia, tylko po tej pół litra rannej kawy... zupełna ciemność zwolniła nas z tej pracy... Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że cały obóz miał podobne święto, a kobiety były w ogóle bez śniadania”.

W momencie, kiedy sprowadzono do obozu pierwszy transport więźniów, byli to jeńcy radzieccy w liczbie około 5.000, zbudowana była jedynie część SS-mańska obozu, a prace nad realizacją części więźniarskiej nie były nawet rozpoczęte. Zgrupowano ich, nie zważając na późną porę roku (jesień), pod gołym niebem. Ludzi tych, przemartniętych, niedożywionych, skierowano najpierw do niwelacji terenu przeznaczanego na pola więźniarskie, a następnie do montowania baraków.

Tempo prac było mordercze, nie też dziwnego, że śmiertelność wśród nich była zastraszająco wysoka. Nie przemawiano się tym, sprowadzono coraz to nowe transporty więźniów, które zastępowały zmarłych i powiększały szeregi pozostałych jeszcze przy życiu.

Firmy niemieckie, zaangażowane do budowy obozu, przysyłały jedynie robotników fachowców. Natomiast wszystkie najcięższe prace nie wymagające specjalnych kwalifikacji wykonywali sami więźniowie, wynajęci przez kierownictwo przedsiębiorstwa za minimalną opłatą według cennika.

Pracą najbardziej masową i jednocześnie najbardziej wyczerpującą były roboty ziemne, a więc kopanie rowów (o głębokości 4 m) przeznaczonych na rury kanalizacyjne, budowa studni, dróg, nasypów, wspomniana już niwelacja gruntów itp. Przy tym dawał się dotkliwie odczuć brak odpowiednich narzędzi pracy. Łopaty i kilofy najczęściej były uszkodzone.

Więźniowie, osłabieni chorobami i brakiem odpowiedniego wyżywienia, pozbawieni stosownej odzieży, narażeni na ciągłe bicie i maltretowanie, musieli wykonywać prace o wiele szybciej niż cywilni robotnicy. Brak siły traktowany był jako objaw lenistwa i sabotażu, a upadających ze zmęczenia funkcyjni bili kijami i pejcami. Dlatego też wielu więźniów, po ukończonej pracy, nie było w stanie wrócić o własnych siłach do obozu, a niektórzy tracili nawet życie w trakcie pracy. Ilustrują to najlepiej cytowane już wspomnienia byłego więźnia S. Wiśniewskiego: „Komanda powracająca do obozu ciągnęła na saniach kupy trupów, żywych jeszcze prowadzono pod ręce... niektórym

(Dokończenie na str. 9)

MAKABRYCZNY PRZEMYSŁ

EDWARD DZIADOSZ

OBOZY koncentracyjne i zagłady obok zasadniczej roli narzędzi eksterminacji spełniały również zadanie dodatkowe — placówek gospodarczych, stosujących eksploatację więźnia jako siły roboczej i grabież jego mienia.

W grabieży więźniów stosowano zasadę, że należy wykorzystać wszystko to, co przedstawia jakąkolwiek wartość użytkową czy wartość surowca. Skrupulatnie posegregowaną odzież, bieliznę, buty, a przede wszystkim kosztowności i dewizy, oraz przedmioty codziennego użytku, jak okulary, zegarki, wieczne pióra, wysyłano bezpośrednio do Rzeszy.

Poza tym przedmiotem grabieży były również kości używane po zmiełeniu w młynkach elektrycznych jako nawóz, a także włosy.

Wśród szeregu dokumentów ilustrujących zagadnienie gospodarczej strony działalności obozu na Majdanku na uwagę zasługują dowody gromadzenia i sprzedaży włosów ściętych więźniom. Niewątpliwie w proporcjach wartości zagrabionego mienia więźniarskiego i tym samym dochodu przysporzonego państwu niemieckiemu — wykorzystanie włosów stanowiło znikomą część. Jednakże musiało mieć jednocześnie duże znaczenie, jeśli rozszerzono z czasem zasięg obozów zobowiązanych do gromadzenia i dostarczania włosów, opatrując rozkazy znanymi tajemnicami — geheim.

W lipcu 1944 roku w pierwszy dzień po wyzwoleniu Lublina dr Roman Szezczyk znalazł w rozbitym samochodzie przy dawnej Nowej Drodze (obecnie Aleje Świerczewskiego) teczkę noszącą tytuł: „Monatsmeldung über Haare”. Teczka zawiera korespondencję z firmą otrzymującą włosy, jak rachunki, potwierdzenia odbioru, ponaglenia, oraz korespondencję i okresowe meldunki komendatury obozu kierowane do Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS (WVHA). Podstawowym źródłem są więc po-

SOCJALISTYCZNE KONCERNY

EMANUEL ISERZON

NIE jest moim pomysłem użycie terminu „koncern” dla oznaczenia przyszłego oblicza zjednoczenia przedsiębiorstw przemysłowych — dokola niego obraca się w tej chwili myśl reformatorska w dziedzinie organizacji zarządzania przemysłem socjalistycznym. Eugeniusz Szyr, wicepremier i przewodniczący Komitetu Nauki i Techniki, zagajając naradę, która odbyła się w reakcji „Nowych Dróg” w dniu 23 kwietnia br., dwukrotnie nazwał nasze zjednoczenia „organizacjami typu koncernowego” („Nowe Drogi”, nr 7 br.). Zabierający głos w tej naradzie Janusz Walewski, podsekretarz stanu Ministerstwa Przemysłu Chemicznego, stwierdził, że „koncerny” czy też zjednoczenia stają się podstawowym ogniwem w systemie zarządzania przemysłem a przedsiębiorstwa przekształcają się w ich części składowe”. Wreszcie Józef Pajestka, dyrektor Zakładu Badań Ekonomicznych Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, na tejże naradzie, wręcz nazwał „bardziej rozwinięte formy zjednoczeń” „socjalistycznymi koncernami”. Nie można tej nazwy uważać za sensacyjną. Nie jest nowością dla nas zapożyczenie koncepcji organizacyjnych kapitalizmu monopolistycznego w budowie ustroju gospodarczego socjalizmu. „Nie można dojść do socjalizmu bez wykorzystania zdobyczy techniki i kultury osiągniętych przez wielki kapitalizm... Socjalizm bowiem nie jest wymysłem, lecz przyswojeniem sobie przez awangardę proletariacką i zastosowaniem tego, co stworzyły trusty... Socjalizm to nie innowacja jak tylko państwowy monopol obronny na służbę całemu narodowi, i w tej mierze przestał on być monopolem kapitalistycznym”. Rozumie się, że te sformułowania Lenina z lat dwudziestych naszego stulecia nie powinny być stosowane i interpretowane w duchu ich ostrości — trafnej w ówczesnych warunkach, dziś brzmiącej anachronicznie wobec zdumiewającego rozwoju budownictwa socjalistycznego. Ale powołane sformułowania nie straciły na swojej zasadniczej słuszności. Dziś więcej niż kiedykolwiek interesujemy się instytucjami kapitalizmu monopolistycznego, czego dowodem są najnowsze nasze publikacje naukowe i popularnonaukowe z tej dziedziny. Ogłaszane są one z wyraźnym celem praktycznym, a mianowicie dla ustalenia: „czy...nie występuje w instytucjach kapitalizmu monopolistycznego wiele podobieństw ekonomicznych, organizacyjnych, technicznych, które stwarzają podobne problemy, narzucają zbliżone rozwiązania, czynią doświadczenia jednych interesującymi dla drugich” (Janusz G. Zieliński: „Big business. Z problematyki nowych technik

zarządzania”. Książka i Wiedza 1962).

Uchwała IV Zjazdu w części dotyczącej reformy systemu zarządzania gospodarką narodową obraca się wyłącznie dokola „zjednoczenia”: „Głównym kierunkiem reformy systemu zarządzania przemysłem powinno być przezwyciężenie istniejących niedociągnięć w strukturze i działalności zjednoczeń przemysłowych. Zjednoczenia powinny odgrywać główną rolę w podnoszeniu poziomu planowania i koordynacji działalności produkcyjnej w skali całych branż”.

Instytucja zjednoczeń przedsiębiorstw państwowych nie jest u nas nowością. Zjednoczenia były tworzone już w okresie wybujałej centralizacji zarządzania przedsiębiorstwami — dla niektórych branż (zjednoczenie przemysłu cukrowniczego, zjednoczenie kopalni itp.). A w dobie centralizacji uchwała Rady Ministrów z kwietnia 1958 r. zobowiązała właściwych ministrów do dokonywania zmian w zarządzie przedsiębiorstwami w postaci tworzenia zjednoczeń jako samodzielnych jednostek wyposażonych w osobowość prawną, grupujących przedsiębiorstwa jednej branży lub przedsiębiorstwa związane ze sobą procesem gospodarczym. Miały one być organem operatywnego zarządzania i zastąpić centralne zarządy — komórki organizacyjne ministerstw. Nowela z 1960 r. do dekretu z 1950 r. o przedsiębiorstwach państwowych postanowiła, że Rada Ministrów „może tworzyć gospodarcze organizacje grupujące przedsiębiorstwa kluczowe, zwane... zjednoczeniami”, a „prezydium WRN może w drodze uchwały za zgodą właściwego ministra tworzyć zjednoczenia przedsiębiorstw terenowych”. Są to już zjednoczenia typu dzisiejszego.

Ale mimo tę ustawową zapowiedź i mimo powołania do życia zjednoczeń, pokutowała u nas w poglądach i praktycznych zamierzeniach orientacja na indywidualne przedsiębiorstwa. Na nasze poglądy miał niewątpliwie wpływ model jugosłowiański oraz niektóre koncepcje teoretyczne ekonomii politycznej, opierające się na modelu działania gospodarki rynkowej wolno-konkurencyjnej. Ta tendencja mogła być zrealizowana w dwojaki sposób. Trzeba było albo stworzyć model naprawdę wolno-konkurencyjny, tj. puścić nasze przedsiębiorstwa państwowe

na fale wolnej między nimi konkurencji (Jugosławia), albo wprowadzić drobiazgową reglamentację rentowności indywidualnych przedsiębiorstw używając do tego celu jednostek administracyjnych. Uosiłowaliśmy realizować drugi system — między innymi właśnie przy pomocy owych zjednoczeń (Pajestka). Nie dało to spodziewanych rezultatów.

Doświadczenie zmusza nas obecnie do postawienia zagadnienia: czy — wobec tendencji panującej dziś na całym świecie — nie należy zaniechać orientowania się na indywidualne przedsiębiorstwa i uznać zjednoczenia, a nie przedsiębiorstwa indywidualne za podstawowe ogniwa w systemie gospodarki? Czy aby te zjednoczenia jako większe organizmy nie pozwolą nam realizować najlepiej zasady racjonalnego rachunku gospodarczego, zasady maksymalnego efektu przy minimalnym nakładzie?

Uchwała IV Zjazdu stwierdza potrzebę doskonalenia planowania i zarządzania. Przyczynę tej potrzeby upatruje nie w niepowodzeniach gospodarczych, lecz w samym rozwoju sił wytwórczych i we wzroście złożoności procesów ekonomicznych. Uchwała podkreśla, że zarządzanie przedsiębiorstwami przemysłowymi wymaga „reformy”. Reforma jest to zmiana podstawowa, zmiana „charakteru i ekonomicznych warunków działania zjednoczeń” — tak formułowały zamierzoną reformę tezy na IV Zjazd. Uchwała mówi bardziej ogólnie o potrzebie „zmiany warunków działania” zjednoczeń, ale zachowuje charakterystykę zamierzonej zmiany jako „reformy”.

Charakter zjednoczeń nie był dotąd jasny. Ustawa stanowi bardzo niejednoznacznie, że celem zjednoczenia jest stworzenie dla przedsiębiorstw w nim zjednoczonych „warunków” wykonania zadań planowych, koordynacja i nadzór. Nadane zjednoczeniom statuty pozostawiają w charakterze zjednoczeń niejasność. W tej sytuacji zjednoczenia muszą kruszyć kopie o kompetencje z resortami i wydziałami rad narodowych w wynikających coraz nieporozumieniach konfliktowych. Zjednoczenia są ustawowo przedsiębiorstwami, ale w praktyce nie są nimi stuprocentowo. Dyskusja, która się odbyła w redakcji „Nowych Dróg”

wykazuje że dopiero teraz zamierzamy uczynić zjednoczenia prawdziwymi przedsiębiorstwami. Czym różni się przedsiębiorstwo kierujące grupą przedsiębiorstw, jakim jest zjednoczenie, od organu administracji państwowej kierującego danym działem administracji gospodarczej, jakim jest resort lub wydział prezydium rady narodowej? Te ostatnie obserwują działalność gospodarczą jednostek organizacyjnych i kierują nimi przez wydawanie administracyjnych nakazów ustalających uprawnienia i obowiązki tych jednostek. Przedsiębiorstwo kierujące grupą przedsiębiorstw podejmuje w sposób gospodarczy — jako przedsiębiorczy przemysłowiec — środki niezbędne dla należytego funkcjonowania przedsiębiorstw kierowanych.

Wicepremier Szyr za jeden z czynników wywierających największy wpływ na kształtowanie organizacji produkcji w układzie ogólnopństwowym uważa „racjonalną specjalizację przedsiębiorstwa” i nie tylko przedsiębiorstwa jako całości, ale i jego poszczególnych komórek produkcyjnych. Chodzi o specjalizację i produktu finalnego (końcowego), i produktu w stadium półwyrobu, i surowców. Specjalizacja musi być urzeczywistniana w przekroju miejsca i czasu. Takiej specjalizacji nie może zrealizować jedno przedsiębiorstwo indywidualne nawet szeroko rozbudowane. Taką specjalizację może wprowadzić przedsiębiorstwo gospodarujące w skali krajowej lub regionalnej — przedsiębiorstwo na wyższym szczeblu, jakim jest zjednoczenie. Tylko ono może osiągnąć właściwy podział pracy między przedsiębiorstwami. Tylko zjednoczenie może organizować skuteczną kooperację opartą na specjalizacji, może osiągnąć unifikację, normalizację i typizację produktów i procesów technologicznych. Na tle tego wyjaśnienia staje się klarowna różnica między ujęciem administracyjno-organizacyjnym problemu sterowania, ujęciem właściwym administracji państwowej, a ujęciem ekonomiczno-organizacyjnym, właściwym zjednoczeniu jako koncernowi. Ta klarowność czyni jasnym, że „wraz z wzmocnieniem się zjednoczeń powinno nastąpić ograniczenie funkcji operatywnych ministerstw na rzecz prac koordynacyjno-analitycznych oraz doskonalenie instrumentów ekonomicznego oddziaływania na zjednoczenia i przedsiębiorstwa” (uchwała IV Zjazdu). To samo odnosi się do organów rad narodowych (prezdydów, wydziałów).

Czy podobna reforma struktury i działalności zjednoczeń przemysłowych nie jest sprzeczna z ideą samodzielności indywidualnych przedsiębiorstw, którą dotąd akcentowaliśmy? „Koncerny” czy też zjednoczenia stają się podstawowym ogniwem w systemie zarządzania przemysłem, a przedsiębiorstwa przekształcają się w ich części składowe. W takim przeciwieństwie kierunku postępuje rozwój przemysłu światowego, a i u nas nie może być inaczej. Są jednak działacze gospodarczy, którzy nie rozumieją tego procesu... Te przestarzałe poglądy stanowiły niemałą przeszkodę w szybszym osiągnięciu współczesnej organizacji naszego przemysłu, zgodnej z tendencjami światowymi, z wyraźną szkodą dla całej gospodarki narodowej” (Janusz Walewski, jak wyżej; podkreślenia E. I.). **Pozornie** tylko tego rodzaju stanowisko znosi samodzielność przedsiębiorstwa indywidualnego kierowanego przez zjednoczenie — koncern. Wiadomo, że wbrew zasadom przyjętym przez Radę Ministrów (uchwała z 1958 r.) pokutują u nas praktycznie operatywne metody zarządzania przez organy administracji państwowej, które ingerują codziennie w szczegółowe sprawy podległych jednostek. W tych warunkach z trudem wyzwała się myśl ekonomiczna i inicjatywa, zanika poczucie odpowiedzialności jednostek organizacyjnych. W tych warunkach nie są dotąd samodzielne ani zjednoczenia, ani przedsiębiorstwa.

Uchwała IV Zjazdu zapowiada nadanie zjednoczeniom statusu prawdziwych przedsiębiorstw zjednoczących nie administracyjnie, tylko gospodarczo przedsiębiorstwa: „Zjednoczeniem powinno przysługiwać w określonych ramach prawo przerzucania i koncentrowania środków podległych im przedsiębiorstw w celu bardziej ekonomicznego ich użytkowania w skali całej branży, zwłaszcza dla zabezpieczenia zadań eksportowych. Zarząd zjednoczenia powinien sporządzać łączny bilans finansowo-księgowy, obejmujący całość działania jednostek

(Dokończenie na str. 10)

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

Konferencja w plenerze

JERZY GEMBICKI

Z przedstawicielami PTTK mogą poświadczyć, że działaczom Towarzystwa leży na sercu sprawa turystyki. I to nie w jakimś ograniczonym, wąskim zakresie działania, przy biernym zastosowaniu XIX-wiecznych doświadczeń, lecz w jak najbardziej współczesnej skali i wymiarze. I to jest sprawa istotna. Turystyka bowiem przechodzi obecnie na nowe tory, szukając nowych dróg, nowych form organizacyjnych i nowego modelu dla całokształtu działalności. Tak pojętemu myśleniu towarzyszą troski, idące w parze ze skokiem jakościowym w rozumieniu turystyki w kraju, który z zaniedbanego gospodarstwa etapu kapitalistycznego, przechodzi w stadium techniczno-przemysłowej rewolucji, dokonując wielkiego skoku cywilizacyjnego. Te przemiany dyktują nowe potrzeby także w dziedzinie turystyki. Turysta, zażywający dawniej przeżyć w dzikiej wędrówce po zaniedbanych cywilizacyjnie ugorach naszej ziemi, coraz częściej staje obecnie wobec nowego pejzażu swego kraju, gdzie obok nielicznych pamiątek historycznych powstają wielkie budowle socjalizmu, gdzie przez lata nawastrawia się nowa historia Polski budująca socjalizm. Te bezsporne fakty wymagają w konsekwencji przekwalifikowania kadr oprowadzaczy, prelegentów i aktywistów PTTK. Wymagają nowego spojrzenia na zadania

i cel dydaktyczno-wychowawczy jeśli idzie o informację przeznaczoną dla młodzieży turystycznej. Stwarzają nowe możliwości uatrakcyjnienia szlaków turystycznych, rewizję tradycyjnych map turystycznych z uwzględnieniem nowych punktów turystycznych, rozszerzenia zakresu zwiedzanych miast, wsi, obiektów, zakładów pracy itd.

Te, z grubsza zaledwie zasygnalizowane sprawy, nie są obce kierownictwu PTTK. Mamy niemal pewność, że wiele nowych inicjatyw i zmian znajdzie swoje realne urzeczywistnienie. Jeśli oczywiście naprzeciw tym staraniom przyjdą również możliwości finansowe, o które, jak powszechnie wiadomo, najtrudniej.

Tymczasem wszakże zakończmy ten felieton optymistycznym zestawieniem cyfrowym. Otóż w r. 1945 PTTK skupiało 1.904 członków. W r. 1950 — 11.744. Dzisiaj PTTK liczy ponad 220 tysięcy członków, z których co piąty jest działaczem, czynnym aktywistą. Łącznie z wielką rzeszą działaczy będących członkami zarządów i komisji ogniw PTTK pracuje:

- 10.000 organizatorów turystyki w zakładach pracy i kolach młodzieżowych;
- 4.059 przewodników turystycznych, miejskich, górskich, nizinnych i w specjalnej grupie tzw. zakładowych;
- 3.500 przewodników turystyki: pieszej, górskiej, narciarskiej, motorowej, kolarskiej, kajakowej, żeglarskiej;
- 2.000 opiekunów społecznych nad zabawkami i 1.200 strażników przyrody.

To tylko maleńki fragment obfitych zestawień statystycznych, stanowiących w sumie wcale niemałą broszurę. Ale nie o przedruk tych skądinąd interesujących danych nam chodzi. Pragniemy jedynie odnotować te sprawy, które świadczą o nowym, dynamicznym duchu rozwojowym w działalności PTTK, życząc zasłużonej instytucji dalszych i trwałych sukcesów. Oczywiście — dla dobra samych turystów.

CZYTELNIKOM „Kameny” nie muszą zachwalać oroku podróży przez Lubelszczyznę. Zaręczam tylko z całym poczuciem odpowiedzialności, że dziennikarze warszawscy, jadąc po tych ziemiach jako goście PTTK, byli naprawdę zachwyceni. I stadnią koni w Janowie i rzucając się w oczy czystością Białej Podlaskiej i samym wreszcie Lublinem. A cel tej wyprawy, ukazanie działalności PTTK w okresie dwudziestolecia. Taka więc turystyczna konferencja prasowa w plenerze. Pomysł naprawdę dobry, wrażeń dużo i materiał do przemyśleń bogaty. Nasz felieton obejmuje, rzecz jasna, tylko kilka spraw. O turystyce, jak wiadomo, można nieskończenie. Ze ludzie się garną, że wzrasta zainteresowanie dla piękna kraju i jego nowej urody w nowych warunkach społecznych i politycznych. Ponadto jest jeszcze sporo zaniedbań i niedomagań, które spędzają sen z oczu wielu działaczom i publicystom. Oddać trzeba sprawiedliwość Kisielowi, że on chyba najbardziej upomina się o polepszenie warunków turystycznych w Polsce. I na pewno ma rację, zwłaszcza jeśli idzie o zainteresowania cudzoziemców wycieczkami po Polsce. Niemniej istnieje druga strona zagadnienia, wyglądająca znacznie lepiej. Myślę tutaj o wielkim turystycznym hobby na na skalę społeczną. Jakikolwiek charakter miałyby te turystyczne przedsięwzięcia, czy indywidualne, masowe, autostopowe, kwalifikowane, czy niekwalifikowane — w sumie oznaczają przecież, że młodzi i starzy lubią sobie powędrować, coś zobaczyć, czego się nauczyć, no i przede wszystkim wypocząć, odmienić tryb życia, odświeżyć się fizycznie i psychicznie. I tu trzeba z całą bezstronnością powiedzieć, że tym zainteresowaniom i żywym potrzebom rodaków wychodzi naprzeciw, robiąc co tylko się da, zasłużone Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Uczestnicy wielu dyskusji i obrad

po pierwsze — zwiększenia się obszaru socjalizmu, po wtóre, i co jest konsekwencją pierwszego — zmniejszenia się obszaru kapitalizmu, i po trzecie wreszcie — w wyniku ukazał-towania się na gruzach kolonializmu (który przecież w znacznym stopniu zasilał kapitalizm) świata, który zwykło się nazywać światem trzecim, a który jest dobrym naszym sojusznikiem w walce o pokój. Można by więc śmiało sięgnąć i do tego tematu, jako że nowy układ sił na świecie i nowa w nim pozycja Polski (nowa w sensie ustroju, siły i sojus-zów) sprawiają, że słowa „nigdy więcej Września!” nie są jakimś plak-katowym sloganem, ale wyrazem dobrej i dokładnie obliczonych rea-liów politycznych.

Można by więc śmiało sięgnąć i do tego tematu, ale nie uczynię tego. Ciekawa jest bowiem — i to właśnie w związku z 25-leciem Września — sprawa inna, a mianowicie: co myślą sami Niemcy? Czy w ogóle, a jeśli tak, to o ile nasza Polska interpretacja rzeczywistości zachodnio-niemieckiej znajduje potwierdzenie w interpretacji niemieckiej? A w ogóle: czy nasze słowo, nasze działanie, nasza polityka wywołują jakiś rezonans w zachodnio-niemieckiej opinii? Zastępując się, że głosy, które zacytu-ję, nie reprezentują powszechnej opinii Niemiec Federalnych, że na pewno nie reprezentują opinii oficjalnej (co zresztą wynika z ich treści), i nadmienając jednocześnie, że nie pochodzą od ludzi z le-wicy (co również z ich treści wy-niknie), przystępuję na koniec do ich przytoczenia, sam wyłączając się już niemal aż do końca niniejszego ar-tykułu.

W związku z zacytowaną już przeze mnie wypowiedzią Straussa pisał Rudolf Augstein w tygodniku „Der Spiegel” z dnia 8 lipca: „Wobec tego, że inne partie nie przeciwdziałają się jego demagogii, wobec tego, że kan-celer Erhard będzie jak zawsze mil-czał, doczekamy się w 20 lat po kłes-cie Hitlera, że Republika Federalna skierowana zostanie na kurs wojen-ny. Rewizja, której Strauss żąda, jest nie do osiągnięcia bez wojny. Czy wszystko więc ma się zacząć na nowo — i wcielenie, i spotęgowany nacjonalizm, i wypędzenie, wszystko pod hasłem „uprawnionych interesów życiowych”? Wprawdzie Strauss sam mówi, że polityka niemiecka musi się starać o to, aby narody (nie rządy!) krajów sąsiadujących z nami na wschodzie „wzbyły się lęku przed niemieckim niebezpieczeństwem mi-litarnym i by je przekonano, że nig-dy już nie będziemy uprawiać ekspan-sjonistycznej polityki wschodniej”. Ale sąsiedzi Niemiec potrafią liczyć i umieją sobie przypominać. Kiedy „trzecia co do wielkości potęga gos-podarcza świata” i trzecia pod wzglę-dem siły armia świata dąży „wszystki-mi środkami politycznymi” do tego, aby dostać pod swoją niemiecką władzę 8 milionów Słowian, to wie-dzą oni, co to ma oznaczać. To właś-nie uważają oni za „ekspansjonistycz-ną niemiecką politykę wschodnią”. Profesorowie i luminarze nauki, któ-rych Strauss zaprosił do własnej rehabilitacji na zjazd partyjny do Monachium, mogą się w swych roz-ważaniach pocieszać, że on wcale tak nie myśli, lecz pragnie jedynie zdobyć głosy przesiedleńców, że można z nim przeciw energicznie polemizować, a kiedy znów zasiądzie w gabinecie bońskim, zadowolony się okoliczności-owym wierzeniem i burzeniem... Ja natomiast pytam, czy wolno służyć jako sztyd politykowi, który inicjuje nacjonalistyczne tańce wojenne w ce-lu wymuszenia dla siebie wstępu do gabinetu bońskiego? A kto zaręczy, że Strauss nie poprowadzi swojej gry dalej i że ulegając wpływowi partie zdolne będą wtedy okazać dostatecz-ny opór? Z osobą Straussa rozstrzyga się nie tylko to, czy będziemy mieli państwo, czy też siłowe, ale także — i to przede wszystkim — czy szukać będziemy rozwoju pokojowego, czy też katastrofy?”

Aha, miałem jeszcze wykazać, że przytoczone wyżej słowa nie pocho-dzą od człowieka z lewicy. Więc dor-dam, że hamburski tygodnik „Der Spiegel”, w którym ukazał się ten ar-tykuł Rudolfa Augsteina, ma tyle wspólnego z lewicą czy z komuniz-mem, ile niżej podpisany ze straus-sowską partią CSU, że ponadto — ta-ki sobie drobiażdżki! — Rudolf Aug-stein jest wydawcą tego ukazującego się w nakładzie 750 tysięcy tygodni-ka.

Ale czytamy dalej. 12 lipca w za-chodnio-niemieckim półtoramiliono-wym tygodniku „Stern” ukazał się artykuł znanego historyka niemiec-kiego, syna wielkiego twórcy „Cza-rodziejskiej góry”, jednym słowem: artykuł profesora Golo Manna, zatytułowany: „Zawrzeć pokój z Polaka-mi”. Jest to szlachetny, kilkunastostr-onicowy artykuł, którego — właśnie ze względu na jego objętość — nie mógłbym, nawet w straszczym, zmieścić w tym moim. Ograniczę się więc tylko do przytoczenia wyjątków, charakteryzujących sposób myślenia autora. I znowu, żeby nie było złu-dzeń co do osobowości profesora Manna, tym razem już na samym po-czątku przytoczę kilka zdań z tego artykułu, które naocznicą w sposób aż nazbyt wyraźny, że Golo Mann ani lubi, ani nie lubi Polaków, ale za to bardzo nie lubi komunizmu. Np.: „W historii niemiecko-polskich błędów



Polacy nie byli aniołami, zwłaszcza wtedy, gdy byli potężni czy uważali się za potężnych”. Albo: „Po niemieckich zbrodniach wobec Polski nastąpiła w 1945 roku polsko-rosyjska zbrodnia wobec Niemiec, tolero-wana przez Amerykanów i Anglików: wypędzenie i aneksje”. Albo w innym jeszcze miejscu: „Wolność i godność ludzka są dziś zagrożone nie tylko przez komunistów...”

No chyba dosyć, bo mógłbym jesz-cze zostać podejrzany o rozpowszech-nianie skrajnie obcych nam pogląd-ów. Ale profesor Golo Mann, choć jako historyk nie zgadza się z na-szym historycznym prawem do Ziemi Zachodnich, jako realista uznaje, że te ziemie są nasze. I polemizując ze stanowiskiem rewizjonistów, utrzy-mujących, że granica na Odrze i Ny-sie nie została ustalona w sposób ostateczny — pisze między innymi: „Jest oczywiście prawda, że w Poczd-anie nie podjęto i nie można było podjąć żadnych ostatecznych postano-wień w sprawie granic, ponieważ nie było i na razie nie miało być żadnego rządu niemieckiego. Tereny na wschód od Odry i Nysy zostały więc podporządkowane administracji pol-skiej; zauważmy — nie polskiemu zarządowi wojskowemu, jak strefy, na które zostały podzielone pozostałe Niemcy, lecz polskiej ad-ministracji cywilnej”. Nasi sojusznicy nigdy nie dali nam cienia nadziei, że w tej sprawie stoją po naszej stro-nie. Protestowali oni wciąż przeciw-ko istnieniu NRD, jednak ani razu nie zaprotowali przeciwko decydu-jącemu o wszystkim procesowi na ob-szarze znajdującym się pod polską administracją, mianowicie przeciwko zasiedlaniu tego obszaru przez tyle milionów Polaków. Prezydent Kenne-dy, nawet w radosnym uniesieniu podczas swej wizyty w Niemczech, unikał ze skrupulatną ostrożnością wszelkich oświadczeń w sprawie gra-nic, do czego go wyraźnie zaprasza-no, tak samo jak przed nim unikał tego prezydent Eisenhower. Zaś generał de Gaulle nigdy nie czynił tajemnicy z tego, że dla niego granica niemiecka znajduje się ostatecznie tam, gdzie jest dziś...”

Charakteryzując sytuację jaka pa-nowała w Niemczech pod koniec woj-ny hitlerowskiej i bezpośrednio po niej, prof. Mann pisze: „Wtenczas wiedziانو bardzo dobrze, albo prze-czuwano, że zbrodnie, które zostały popełnione w imieniu narodu i przez naród, w straszliwy sposób spadną nań z powrotem. Hermann Goering powiedział w pierwszych dniach woj-ny: „Jeśli przegramy tę wojnę, wów-czas niechaj niebiaśna będą dla nas łaskawe”. Takie mniej więcej uczu-cia panowały także ostatniego dnia wojny. Rozumni Niemcy uważali wtenczas, że dla państwa niemieckie-go nastal kres na zawsze. Ponieważ jednak materialna i polityczna odbu-wa, dzięki zmienionej konstelacji po-lytyki światowej, nastąpiła tak nie-

prawdopodobnie szybko, wszelkie po-zecie winy i pokuty szybko minęły i dzisiaj uważa się znowu, że katar-strofa z 1945 r. była tylko mało zna-czącym epizodem bez rzeczywistych i trwałych następstw”. I tu prze-chodząc do sprawy granicy z 1937 r., którą politycy zachodnio-niemieccy uważają za nadal obowiązującą, syn Tomasa Manna pisze:

„Nieszczęście zaczęło się przeciw- właśnie od granic 1937 r., zaczęło się od tego, że Niemcy były tak bardzo niezadowolone z tych granic, iż uwa-żały, że dla ich zmiany warto prowa-dzić wojnę światową. Kto więc za-gwarantuje Polakom czy Czechom, że cały ten ponury film nie zacznie się od nowa, nawet gdyby go miano krę-cić z powrotem od roku 1937? Tu znowu mści się dawna wina niemiec-ka z 1939 r. Jedyny argument, jaki możemy temu przeciwstawić: zmie-niliśmy się, wyciągnęliśmy wnioski z lekcji, jaką otrzymaliśmy, ten argu-ment może przekonać nas samych, należy jednak wątpić, czy przekona naszych wczorajszych przeciwników i nasze wczorajsze ofiary. Nawiasem mówiąc: oto znowu w gotowości są te kola, które nie chcą się zadowolić nawet granicami z 1937 r. Znowu otrzymujemy do domów ulotki postu-lujące zwrot terenów, które utracili-smy po I wojnie światowej. Ziomko-stwo Niemców Sudeckich postuluje już nie tylko prawo do stron ojczystych w tych częściach Czech, gdzie mówiło się dawniej po niemiecku, lecz także przyłączenie tych terenów do Nie-miec, a więc przywrócenie układu monachijskiego. Czyż możemy się dziwić temu, że nasi sąsiedzi ze wschodu wyciągają swoje wnioski z tego rodzaju żądań?”

A jakie wnioski wyciąga prof. Golo Mann? Przede wszystkim — uznać ustalone granice. Ale zaraz dodaje: „Ton decyduje o muzyce. Suche i niechętnie, prawnomiedzynarodowe uz-nanie granicy na Odrze i Nysie przez Bonn — przyniosłoby dziś niewiele. Tylko wtedy, gdy będziemy postępowa-li wobec Polaków w sposób prze-konywający, tak jak postępowałiśmy wobec Francji, Belgii, Holandii, Danii i Norwegii, kiedy pomnożyliśmy kon-takty gospodarcze, kulturalne i mię-dzyludzkie, kiedy nie tylko uznamy granicę na Odrze i Nysie, ale także wydarzenia, które do powstania tej granicy doprowadziły, tylko wtedy uznanie to może przynieść owoce... Słyszymy często o prawie narodów do samostanowienia. Zróbmy z tego prawa użytek nie przez żądanie zwrotu prowincji, które nasi rządcy przegrali w sposób głupi i zbrodniczy i których nie byłibyśmy w stanie zasiedlić, gdybyśmy je na-wet otrzymali z powrotem. Zróbmy z tego prawa użytek w ten sposób, że sami zadecydujemy w sposób wol-ny o swoim losie... Nie byliśmy za-dowoleni z tej pięknej, wielkiej Rze-szy, którą mieliśmy przed 1914 r. i otrzymaliśmy granicę z 1937 r. Nie byliśmy zadowoleni z granic z 1937 r. i otrzymaliśmy granicę z 1945 r. Gdzie znalazłyby się granice Niemiec nastę-pnym razem?”

Tym memento kończy się ten wiel-ki, a zamieszczony w półtoramiliono-wym zachodnio-niemieckim tygod-niku „Stern”, artykuł profesora Golo Manna. Wobec tego jednak, że redak-cja „Kamery” i tak już będzie miała do mnie żal o to, że artykuł mój jest przydługą, a czytelnik — że zamiast pisać samemu, posłużyłem się tu ar-tykułami osób trzecich, decyduję się na dalsze cytowanie. Więc w tym samym tygodniku „Stern”, ale z 2 sierpnia, znany publicysta zachodnio-niemiec-ki, Sebastian Haffner, zamieścił ar-tykuł, w którym czytamy:

„Wezwanie Golo Manna do zawar-cia pokoju z Polakami i pogodzenia się z granicą na Odrze i Nysie było dalekosieżnym, głęboko przemyśla-nym i wzruszającym apelem do roz-sądku i sumienia i niemal żenujące byłoby coś do tego dodawać. Chciał-byłm jednak uczynić mimo to jedną uwagę, można powiedzieć, jeden pro-zalczny przypis z przyszłościową dla mnie pomorską-pruską trzeźwością. (Zresztą moja rodzina, wbrew roz-powszechnianym przypuszczeniom wcale nie żydowska, pochodzi z Po-morza)”

Czego dotyczy ten „przypis”? Do-tyczy sprawy przesiedleńców i pod-zywania wśród nich nastrojów rewiz-jonistycznych. Pominę tu cały wywód ekonomiczny Haffnera i przechodzę do jego argumentacji politycznej.

„Można zrozumieć, że starszych wy-pędzonych dręczy nostalgia. Ale nie można zrozumieć, dlaczego rząd, któ-ry jest odpowiedzialny za całość, do-puszcza do tego, a nawet wspiera pieniądze podatników, ażeby tę no-stalgii jeszcze sztucznie podsycać, a tam, gdzie ona już w ogóle nie ist-nieje, tzn. wśród młodszych, sztucznie rozniecać... Gdyby przynajmniej tak było, że to wypędzeni sami żywiołowo dają do powrotu i że nie można ich okiełznać!... Ale przecież wcale tak nie jest. Większość wypędzonych jest całkiem spokojna, rozsądna i wyro-zumiiała, o wiele bardziej wyrozumi-iała niż jej samozwańczy przywód-cy i ministrowie, którzy wprawiają jej obowiązkiem niezapomnienia... Gd-yby agitacja nie była stale podsyca-na pieniędzmi podatników i rządową pro-pagandą, to już dawno wszystko by się uspokoiło...”

Ten sam numer tygodnika „Stern” przynosi, oprócz zacytowanego wyżej artykułu Sebastiana Haffnera, frag-ment pierwszej serii listów od czy-telników, które upłynęły do redakcji po opublikowaniu przez nią artyku-łu Golo Manna, zatytułowanego „Za-wrzeć pokój z Polakami”. Jedni dzię-kują profesorowi Mannowi, inni go okrutnie ganią. Nie, nie będą tych wypowiedzi przytaczał z wyjątkiem jednej, która — prawdę mówiąc — natchnęła mnie do napisania tego ar-tykułu. Pisał Peter Knop z Bad Go-desberg:

„Jako młody człowiek, który nie chce tolerować nienawiści ani wzplę-dem naszych sąsiadów zachodnich, ani też wschodnich, niczego nie ży-czę sobie bardziej, niż tego, żeby przy pomocy konstruktywnej polityki nie-mieckiej można było osiągnąć poko-jową ugodę, w szczególności także z naszym wschodnim sąsiadem — Pol-ską... Zaslugą niemieckiego history-ka, profesora Manna, jest ukazanie możliwości prowadzących do tej ugo-dy; są to jednak równocześnie słowa, które by się chętnie usłyszało z ust polityków niemieckich”.

I dlatego właśnie, że takie sło-wa z ust polityków niemieckich do-tychczas nie padają nam tu w Pols-ce ciągle wracać trzeba do sprawy niemieckiej.

Stefan
Chaniec-Chanachowicz



(Dokończenie ze str. 7)

udało się dowiec do baraku i po ścianie starać się wstać, lecz długo nie mogą się utrzymać w pozycji stojącej”.

Do komand uprzywilejowanych na-leżały te, które zatrudnione były w warsztatach pracujących dla potrzeb samego obozu względnie frontu. Te ostatnie zajmowały się wytwarzaniem koszy na amunicję, szyciem ubrań dla SS-manów itp. Poważnym plusem tej pracy było to, że więźniowie ci nie pracowali na wolnym powietrzu, lecz pod dachem. Nie byli więc narażeni na bez-pośrednie działanie warunków atmo-sferycznych. Ponadto pracę tę wyko-nywali zwykle w pozycji siedzącej.

Nie lepiej też powodziło się kobie-tom więzionym na Majdanku. Najczęściej zmuszano je do wykonywania równie ciężkiej pracy, której nieraz nie mogli sprostać mężczyźni. „Więźniarki na Majdanku wykonywały różnego rodza-ju prace: budowę drogi, kuchni, plan-towanie, szycie, pranie, opiekę nad cho-rymi itd. Niektóre z tych prac wykony-wano na polu V (pole — w pierwszym okresie istnienia obozu — przeznaczone wyłącznie dla kobiet — A2), inne wymagały wymarszu poza druty pola... Za-trudniano przy tym przeważnie kobiety stare i słabe”.

Bardzo poważny odsetek istnień ludz-kich zabijała na Majdanku ciężka, mordercza i wręcz niewolnicza praca. A zatem obóz spełniał pokładane w nim przez władze hitlerowskie nadzieje...

Anna Zmijewska

MIROSLAW DERECKI

KIEDY podczas odbywającej się 20 lipca w Chełmie Uroczystej Sesji poświęconej uczczeniu XX-lecia powstania Polski Ludowej, przewodniczący lubelskiego Zarządu Wojewódzkiego ZMW Stanisław Niedźwiedzki złożył meldunek o realizacji wszystkich zobowiązań Związku Młodzieży Wiejskiej podjętych z okazji Dwudziestolecia PRL i Roku Ziemi Lubelskiej, okazało się, że w tym wielkim czynnie społecznym wzięło udział w sumie ponad 39 tysięcy młodzieży, która wypracowała prawie siedem i pół miliona złotych. Ogromny kawał roboty. Jednocześnie świadectwo prężności i popularności organizacji umiejaczej porwać za sobą niezbyt skora przecież do łatwego entuzjasmowania się młodzieżą wiejską, zdobyć jej zaufanie i serdeczny stosunek do wszystkich proponowanych przez ZMW inicjatyw.

A przecież to jeszcze bardzo młoda organizacja. Pierwsze koła ZMW powstawały na Lubelszczyźnie w marcu 1957 r. W następnym roku było już 10 tysięcy członków, w 1959 liczba ta została podwojona, w 1960 Związek liczył w naszym województwie 35 tysięcy członków, aby w 1964 roku osiągnąć ponad 60 tysięcy zrzeszonych w 2.470 kołach ZMW, czyli we wszystkich wsiach lubelskich.

Tajemnica ogromnego powodzenia i popularności, jaką cieszy się Związek Młodzieży Wiejskiej wśród młodych mieszkańców wsi i zresztą wszystkich osób, które w jakikolwiek sposób zetknęły się z jego działalnością, tkwi chyba po prostu w szczęśliwym i konsekwentnym realizowaniu trzech podstawowych założeń, jakie sobie ZMW postawił w pracy z młodzieżą: w posiadaniu programu, który odpowiada zainteresowaniu środowiska, w odpowiednich formach i metodach działalności, które potrafił sobie wypracować, oraz w ofiarności kadry in-

struktorskiej i aktywność związkowego. Wychować młodzież w duchu socjalizmu, rozumiejącą otaczającą ją świat, zachodzące w nim przemiany i biorącą w nich czynny udział, wychowywać młodzież w działaniu, podczas pracy i poprzez pracę — tak można by streścić program ZMW.

Kluby młodego rolnika, szkoły zdrowia, kursy szkolenia zawodowego i podnoszenia kwalifikacji, szkolenie oświatowo-polityczne, spółdzielcze, współpraca z „RUCH-em” w zakładaniu wiejskich klubów książki i prasy, współpraca z GS w organizowaniu klubów-kawiarni, konkursy mające na celu podniesienie estetyki wsi czy wprowadzenie nowych metod pracy na roli — oto metody działania i formy pracy organizacji. Wspomina się o nich niejednokrotnie. Pisała również „Kamena” o wielkich, zakrojonych na całą Polskę przedsięwzięciach kulturalnych: „Wies bliziej teatru” i „Upowszechnienie plastyki na wsi”. Ktoś się wyraził, że poprzez stosowanie pomysłów i nieszablonych metod pracy jeden wiejski aktywista ZMW potrafi w swojej wsi zdziałać więcej niż czterech posiadających „odpowiednie przygotowanie”, etatowych prelegentów od kultury. „W końcu, do kultury, do socjalizmu, można trafić nieraz szybciej poprzez pracę nie mającą często z tymi sprawami pozornie nic wspólnego” — powiedział mi kiedyś kto inny z ZMW. — „Trzeba tylko ludzi umieć naprawdę zainteresować tym, co im proponujemy do wykonania”.

Szczególnie interesujące wydają się ostatnie inicjatywy ZMW w Lubelskiem. Jedną z nich wiąże się z hasłem rzuconym przez bardzo zresztą przez organizację w powiecie krasnostawskim: „W każdej wsi członek ZMW mający ukończone technikum rolnicze”. Sprawa niełatwa do zrealizowania, a jednak mająca wielkie szanse powodzenia i to już w niedalekiej przyszłości. Przede wszystkim dlatego, że same środowisko jest zainteresowane w jej pomyślnym wyniku. A zaczęło się od tego, że Zarząd Powiatowy ZMW postanowił pomóc kilkunastu młodym rolnikom, którzy gospodarowali już na własnym, ale nie mieli jeszcze zbyt wielkiego doświadczenia, ani przygotowania do pracy na roli. Nawiązano kontakty z produkującymi rolnikami w województwie opolskim, które, jak wiadomo, słynie z wysokiej kultury rolnej, i... wysłano do nich na kilkutygodniową praktykę 13 młodych „ryzykantów” z okolic Krasnegostawu. Jakkolwiek początkowo cała akcja nie została przyjęta ze zbytnim zapalem, praktykanci powrócili z takim doświadczeniem i z takim entuzjazmem, że potrafili zarazić nim licznych sąsiadów. W ślady ich poszła tym razem bez namysłu następna grupa składająca się z 15 osób, która w czerwcu br. wyjechała na Opolszczyznę. Stały kontakt pomiędzy dwoma powiatami w dwóch odległych województwach został nawiązany, a 30 młodych gospodarzy stało się w swoich wsiach aktywistami rolnymi. I tak okazało się, że czego nie potrafili wytłumaczyć i o czym nie potrafili przekonać krasnostawskich chłopów agronomowie, to wytłumaczyli im „namacalnie” opolscy gospodarze na przykładzie własnych gospodarstw i tym ich zainteresowali.

Dalej: zachęcony zapalem młodych rolników, wpadł Zarząd Powiatowy na pomysł utworzenia w Krasnymstawie zaocznego technikum rolniczego. W powiecie istnieją 23 szkoły przysposobienia rolniczego. Co roku opuszcza je około 300 absolwentów. Jednak tylko nieliczni kontynuują naukę w technikum stacjonarnych. Po prostu brak czasu, trzeba pomagać starym rodzicom w gospodarstwie itp. Natomiast, przy pewnym wysiłku oczywiście, można będzie kontynuować naukę w technikum zaocznym.

Aktywiści ZMW wydeptywali ścieżki do Wydziału Oświaty Rolniczej przy WRN w Lublinie. Przedstawiali korzyści płynące z uruchomienia technikum, które zresztą działałoby na bazie istniejącego w Krasnymstawie stacjonarnego technikum rolniczo-chmielarskiego. Zgodę wyrażono, ale pod jednym warunkiem: — „my wam damy pieniądze i odpowiednie zezwolenie, ale wy najpierw udowodnicie, że znajdując się w powiecie ludzie, którzy zechcą się zapisać do waszego technikum”. No i nadeszło od razu 160 zgłoszeń z samego tylko powiatu krasnostawskiego. Wiec od września — ruszają.

Gardzienice — nazwa innej miejscowości na Lubelszczyźnie, związanej ściśle z działalnością ZMW. Powstaje tutaj pierwszy w kraju „TUL”, różniący się od innych w Polsce znanych

* P. artykuły: A. Gabrusiewicza „Atak na wies” („Kamena” nr 21 z 1963) i L. Kozuski „Wies bliziej teatru” (nr 12 z r. 1963) oraz ankietę „Upowszechnienie plastyki na wsi” (nr 3 z rb.).

(Dokończenie na str. 12)

czyli porażka nie bez kozery

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

A WIĘC znowu powróciliśmy „na tarczę” z kolejnego, szóstego już, Toruńskiego Festiwalu. Nie otrzymał Teatr Węgierki żadnej nagrody zespołowej, ba, nawet żadnego z licznych wyróżnień indywidualnych. A passa taka trwa już z małymi odchyleniami od lat pięciu, zapoczątkowana osławionym już w Polsce kiczem zbyszkosawanowej produkcji pod nazwą „Z przeszłości”, który w młodości nieopacznie popełniła Maria Konopnicka. Czyżby jury ciągle pamiętało ów grzech białostockiej sceny? — zapytują już nie tylko ludzie związani z teatrem, ale i kawiarniani krytycy, czyli tzw. premierowa publiczność.

Istotnie, dla mało zorientowanych mogłoby na to wyglądać, ale jeśli jest w tym przysłówko *dzidło* prawdy, to doprawdy zupełnie małe. Bo przy czym są o wiele bardziej złożone. W miarę sił postaram się najwłaźniejsze z nich wskazać.

Na Festiwal Teatrów Polski Północnej zawiązał teatr białostocki „Burzę” Szekspira w reżyserii Jerzego Zegalskiego i scenografii Teresy Ponińskiej. Sztuka ta niezbyt często gości na scenach polskich. I na pewno raczej ma Jan Kott*, który mówi, że jej tradycja „bardzo wczesnie została zagubiona. Od okresu Restauracji po czterdzieście lat XIX wieku grano w Anglii *Burzę* w przeróbce Drydena. Była to pusta dworska feeria. Symboliczną interpretację *Burzy* przyniósł romantyzm i pokazywał iluzjonistyczną *Burzę* przy pomocy wszystkich środków teatralnej maszyny i świetlnych efektów. Te dwie złe tradycje: feerii i alegorii, zbiegły się ze sobą i zacięły nad interpretacją *Burzy* niemal po dzień dzisiejszy. Wielka poezja stała się poetyckością, groźny moralitet — alegorycznym widowiskiem, „*Burza*” stawała się coraz bardziej romantyczną i operową feerią, w której główną rolę odgrywa baletniczka unosząca się na teatralnym flugu, ubrana w jasne trykoty i powiewająca skrzydłkami ze srebrnej gazy i tiulu”.

Da liegt der Hund begraben. A zatem niechęć teatrów do „*Burzy*” jest o tyle usprawiedliwiona, że jej wystawienie łączy się z koniecznością odczytania utworu, znalezienia doń własnego klucza. Kott pisze dalej, że nie w pełni udało się to Schillerowi w 1947 roku. W roku 1964 zupełnie już nie udało się Zegalskiemu. Wprawdzie tu ustrzeżono się „operowym kombinonem (!), ale pozostała za to alegoria. Alegoria łopatologiczna, czyli walka dobra ze złem, oczywiście uwieńczona triumfem tego pierwszego. Dzieje się to w dwu płaszczyznach, ziemskiej i pozaziemskiej, a wszystko okraszane sówicze tasiecomowymi tyradami Prospera. No cóż, jeśli dorosłemu widzowi opowiada się bajkę, nawet najpiękniejszą, to żąda on, aby w niej było jakieś „drugie dno”. Niech to będzie nawet jak w pójncie piosenki Osieckiej, że „nikt nie wie, co się kryje pod czerwonym kapturkiem”, ale niech coś będzie. W Teatrze Węgierki nie było nic. Była tylko, chwilami nawet sympatycznie choć w zwolnionym tempie, opowiedziana baśń. A tego było za mało na Festiwal w Toruniu.

Czyżby więc niepowodzenie festiwalowe było miernikiem całorocznej pracy teatru? To pytanie cisnie się nieodparcie, jeśli przyjąć, że ocena wartości artystycznej „*Burzy*” dokonana przez jurorów była w zasadzie sprawiedliwa. I tutaj trzeba z całą stanowczością odpowiedzieć — nie. Dyrektor Zegalski w trzecim sezonie swojej kadencji, w sezonie ustabilizowanej już pracy zespołu udowodnił, że potrafi sensownie ułożyć całoroczny repertuar, gdzie dobrze zachowane są proporcje między sztukami współczesnymi a klasyką. Że, co ważniejsze, potrafi nadać właściwy kierunek polityce teatru, koncentrując swoje wysiłki na powiększeniu zasięgu oddziaływania teatru, przyciągnięciu nowego widza. Ze wreszcie, Teatr Węgierki stać niekiedy na ambitne przedstawienia, poziomem swoim nie odbiegające od innych teatrów prowincjonalnych i nie tylko prowincjonalnych. Z pewnością więc porażka toruńska nie jest adekwatna do prze-

kroju całego sezonu. Dlatego tym bardziej smuci i denerwuje.

Czyż zatem nie było innego utworu, który by lepiej zaprezentował Białostok na przeglądzie zespołów Polski Północnej? Był. Tylko kierownictwo artystyczne Teatru nazbyt wielką wagę przywiązało widać do założeń repertuarowych tegorocznego Festiwalu. Brzmiały one następująco: W związku z 400 rocznicą urodzin Szekspira — sztuki tego autora oraz dla uczczenia XX-lecia PRL — sztuki współczesnych autorów polskich. Ze potem, przy podsumowywaniu wyników niezbyt wielką wagę do tych założeń przywiązywano, świadczyć może cały worek z nagrodami dla Teatru Wybrzeża za nie najciekawszą adaptację Hemingwaya — „*Komu bije dzwoni*”. A przecież tenże sam Jerzy Zegalski wystawił w tym sezonie bardzo ciekawie „*Kordiana*”. Przedstawienie było ambitne — szło w kierunku ukazania Słowackiego współczesnego. Na pierwszym planie znalazły się konflikty psychologiczne bohaterów (nie bohatera, bo *Kordian* nie stanowił tu osi dramatu, a raczej jego motyw przewodni). Reżyser zmontował spektakl czytelny i określony umiejętnymi skrótami, całe partie tekstu przerzucając niekiedy w usta innych postaci, niż chciał tego Słowacki, a co bardzo przedstawieniu wyszło na dobre. W sumie byłoby się czym pochwalić, a wyróżnienie reżysera — niemal pewne. Dla zachowania założeń repertuarowych można było również pokazać kameralne „*Ruchome piaski*” Jerzego Przedździeckiego. Utwór to wprawdzie nie najświetniejszy, ale zwracający uwagę trafnością obserwacji psychologicznej, pokazujący historię eksportowca i środowiska małomiasteczkowego bez zakłamania i lakiernictwa. I tu również zaryzykowałbym prognozę na jedno przynajmniej wyróżnienie — Zygmunta Nawrockiego w roli Gezy.

To są oczywiście propozycje, jak się to mówi w teatrze, „*rzucone na rybkę*”. Za mało znam wewnętrzną problematykę Teatru Węgierki, by sugerować takie, a nie inne konkretne propozycje. W każdym razie jedno jest pewne: były lepsze przedstawienia warte festiwalowej widowni. A dyrektor Zegalski zdradził się brakiem obiektywizmu w ocenie własnej pracy. Wada to nie największa, nawet u kierownika artystycznego, jeśli wziąć pod uwagę istnienie takiego organu doradczego w teatrze, jakim jest Rada Artystyczna. Jej to właśnie zadaniem było, śmieć przypuszczać, zwrócenie dyrekcji uwagi na niefortunną decyzję. A nie chce mi się wierzyć, żeby taka Rada była w Białymstoku kompletną fikcją.

To tyle o przyczynach subiektywnych niepowodzenia w Toruniu, ale były i obiektywne, z których najważniejsza to organizacja samego Festiwalu. Mianowicie dopóki jasno i wyraźnie, bez niedomówień, nie określili się, czym w zasadzie ma być toruńska impreza — czy konkursem na który specjalnie (nieraz kosztem codziennej działalności) przygotowuje się przedstawienia, czy przeglądem całorocznej działalności, dopóty nieporozumienia będą się mnożyć.

Na marginesie ubiegłego sezonu Teatru im. Węgierki jeszcze jedna sprawa. W czerwcu br. Teatr wystąpił z premierą „*Odwetów*” Kruczkowskiego. Nic na ten temat niestety nie mogę powiedzieć, bo premiera odbyła się w terenie i tam też sztukę eksplloatowano do 20 lipca, tzn. do chwili urlopu Teatru. Pozostając z całym szacunkiem do miast prowincjonalnych, którym również należa się tzw. „wydarzenia kulturalne” typu np. premiery, ośmielam się zauważyć, że praktyka pokazywania w stolicy (bądź co bądź!) województwa ostatnich już przedstawień sztuki nie należy do najszcześniejszych. Podobnie zresztą jak zapraszanie (czyt. „organizowanie widowni”) już na premierę sztuki — milej, acz nieco hałaśliwej, młodzieży szkolnej. Nie poddawajmy się pesymizmowi, publiczności na jedno przedstawienie powinno nie zabraknąć! Nawet w Białymstoku.

Na zakończenie chciałbym wyrazić nadzieję, że do działalności Teatru białostockiego w nowym sezonie da się przetransponować przekadło o znanym zjawisku w przyrodzie, że po (B) burzy bywa zazwyczaj ładna pogoda. Czyli — *Pust' usiedga budzi słońce!*

* Jan Kott: „Szkice o Szekspirze”, PWN, Warszawa, 1961. Cytuję za „Przewodnikiem Teatralnym”.

SOCJALISTYCZNE KONCERNY

(Dokończenie ze str. 8)

gospodarczych wchodzących w jego skład, oraz przeprowadzać rozliczenia wyników z budżetem państwowym” (podkreślenia E. I.). W myśl tego przedsiębiorstwa stają się istotnie składowymi częściami zjednoczenia jako większego przedsiębiorstwa kierującego. Ale jeśli zjednoczenia — koncerny będą stosowały w swej działalności zasady centralizmu demokratycznego, a do tego mają do dyspozycji różne środki, przede wszystkim instytucje kolegiów, w których skład wchodzi dyrektorzy zjednoczonych przedsiębiorstw, inicjatywa oddolna przedsiębiorstw nie będzie skrepowana. Przedsiębiorstwa będą miały do dyspozycji okazję do wyzwolenia własnej inicjatywy. Uchwala akcentuje, że „wzmocnieniu roli i samodzielności zjednoczeń powinno towarzyszyć podniesienie roli samorządu robotniczego w decydowaniu o wewnętrznych sprawach przedsiębiorstwa”. W tym tkwi duża rezerwa samorządności.

Jest jasne, że reforma zarządzania przemysłem pod zawałaniem „koncern socjalistyczny”, jeśli ma być owocna, nie może być wprowadzona w życie jednego pięknego dowolnie obranego dnia. Powinna być realizowana ostrożnie i stopniowo z uwzględnieniem miejsca, czasu i właściwości danej gałęzi produkcji. Zamierzone przeobrażenie administracji przemysłu wymaga „zmiany warunków... działania, przeprowadzonej w sposób nieszablony, w miarę gromadzenia doświadczeń” (uchwała IV Zjazdu). Reformę powinna poprzedzić praca przygotowawcza w postaci analizy ekonomicznej sytuacji i doświadczeń w poszczególnych gałęziach i branżach przemysłu pod kątem zamierzonej reformy. Zjednoczenia mają do tej pracy przygotowanie w dotychczasowym doświadczeniu. I one powinny tę pracę wykonać. Na tej pracy powinno być oparte szczegółowe „rozpracowanie” reformy przez organy centralne — bez czego uchwały nie mogą być wcielone w życie.

Emanuel Iserzon

Z walk o repertuar...

MARIA BECHCZYC - RUDNICKA

Niedawno temu można było oglądać w telewizji dyrektora jednego z wielkich zakładów przemysłowych (nie pomnę już którego) i usłyszeć w nader budującym wywiadzie, jak to się robi, żeby okres urlopowy nie osłabiał tempa produkcji, nie umniejszał jej wyników. „Przydałby się analogiczny przepis instytucjom mającym bezpośrednią styczność z masami” — pomyślałam melancholijnie, naliczywszy na pocztę główną Lublina aż cztery okienka z pięknie wykonanym w szkłe napisem NIECZYNNY. Ale cóż pocztę! Ostatecznie kwestia sprawdza się do nieco wyższej liczby interesantogodzin w tzw. ogonku. O ile bardziej deprymująca mieszkańca miasta jest owa NIECZYNNY w teatrach. A przecie nie dalej jak dwa lata temu, pamiętam, rozpraszały nam zawieszoną nudę sierpnia, tego letargicznego sezonu kultury, parotygodniowe występy gościnne Haliny Przybylskiej i Zbigniewa Romana w inteligentnej sztuce Gibsona „Dwoje na huśtawce”. Czyżby zabrakło nagłe Polsce aktorów wykorzystujących część urlopu na ożywienie opustoszałych scen wojewódzkich jakimś kameralnym spektaklem? Nie, to chyba zwyczajnie zabrakło troski o człowieka-nie-urlopowicza. A tej kategorii ludzkiej nawet w sierpniu jest znakomita większość!

Niestety, przedsmak sierpniowego marazmu mieliśmy już w lipcu, kiedy na dziesięć dni przed „Zaczarowanym kole” pokazano Lublinowi „Walkę kobiet” E. Scribe'a. Eugène Scribe! Czegoż u Boga Ojca (jak to się dziś modnie mówi) można się spodziewać po Scribe'ie? Uczeń i piśmiennik, że ów Augustin Eugène Scribe już w pierwszej połowie XIX stulecia uchodził w oczach krytyków za „nadwornego krawca aktorów”, przykrawacza ról i tematów według upodobań niezbyt wybrednej publiczności.

Szesnaście lat temu teatr lubelski, który nie był jeszcze teatrem im. J. Osterwy, wystawił arcydzieło Scribe'a — „Szkłankę wody”. Podtytuł sztuki brzmiący „Skutki i przyczyny” jest wyrazem teorii historycznej rozwiniętej już przedtem dowcipnie przez Woltera, a polegającej na twierdzeniu, że wszelkie przemiany i katastrofy polityczne są wynikiem drobnych przyczyn, bo ludzie rządzący państwami sami są rządzani przez namiętności, kaprysy, próżność. Tak, według Scribe'a, szklanka wody rozlana na suknię królowej stała się powodem zmiany gabinetu ministrów, a w następstwie i pertraktacji z Francją, dzięki czemu Anglia wycofała się z korzyścią z wojny o dziedzictwo hiszpańskie, zawierając w roku 1713 pokój w Utrechcie.

Ten efektowny paradoks był szczytem myśli filozoficznej Scribe'a. Autor „Walki kobiet”, rzecz można, na ogół celuje w przeciętności. Celował wyjątkowo zgrabną i zwinną teatralizacją byle anegdota, byle głupstwa. Stąd nadzwyczajna jego płodność. Ktoś obliczył jego spuściznę na 350 pozycji, kto inny na 500. Mniejsza w danym wypadku o ścisłą liczbę, bo tak czy owak faktem jest, że była za duża. Wszystko to, z małymi wyjątkami, poszło w niepamięć nawet we francuskim życiu teatralnym. I oto, nawiasem mówiąc, dziwny wystryk losu: nie każdy wie, że pod piórem Scribe'a powstały libretta przeszło 60 oper, m. in. takich, jak „Fra Diavolo”, „Faworyta”, „Prorok”, „Żydówka”, „Hugonoci”, „Afrzykanka”, a tymczasem rzetelną wartość użytkową zachowują na dziś właśnie owe libretta, w miarę wziętości muzyki Auber'a, Donizetti'ego, Meyerbeera, Halévy'ego i innych znakomych kompozytorów.

No ale Teatr im. Osterwy nie jest teatrem operowym, wyciągnął więc z lamusa te „Walkę kobiet”, która mi jako żywo przypomina swą fakturą mdłe opowieści z tzw. „Bibliothèque rose”, lekturę zalecaną za moich odległych młodych lat dobrze ułożonym pannom. Skribowska historia jest może tylko nieco frywolniejsza. Odrobnie. Przyznam się, drażni mnie niewymownie dość rozpowszechniona w naszych teatrach tendencja do ukłasyfikowania wszelkich ramot z nie da-

jącej się obronić racji, iż autor był niegdyś bożyszczem tłumów. Toteż jedynie z trudem chyba trafi komuś do przekonania argumentacja kol. Z. Stoberskiego, który pisze w programie do „Walki kobiet”: „W sumie jednak widz dzisiejszy ma nie tylko godziwą rozrywkę kulturalną, ale poznaje równocześnie twórczość jednego z najplodniejszych komediopisarzy francuskich i światowych”. Czy trzeba przypominać, że jeśli w życiu wyżył demograficzny już nasuwa pewne problemy, to w teatrze sama płodność w każdym bądź razie problematyki artystycznej nie rozwiązuje. A cytowany w programie Allardye Nicoll (cóż za dretwy trójprzekład H. Krzczkowski, W. Niepokólczyckiego i J. Nowackiego!) bynajmniej na korzyść jakości superprodukcji Scribowej nie przemawia.

Po co galwanizować to wielotomowe dzieło z czasu pozaprzeszłego? Najwyżej podajcie „Szkłankę wody” młodym adeptom dramaturgii, by się uczyli mistrzowskiej techniki pisania dla sceny. A gdy się nauczą, niech piszą rzeczy o dużo głębszym od wzoru sensie moralnym i intelektualnym.

Sprecyzujmy jednak zagadnienie „Walki kobiet”, bo o nią właśnie poszło. Akcja toczy się w październiku 1817 r., kiedy zasiadający na „odrestaurowanym” tronie Francji Ludwik XVIII zabiera się ostro do tępienia niedobitków bonapartyzmu. Były oficer napoleoński, Henryk de Flavigneul, prześladowany jako przywódca spisku mającego na celu powrót na stolec „ludożercy — Korsykanina”, ukrywa się w zamku zaprzęgniętej z jego rodziną hrabiny d'Autreval — o ironio! — zacieklej zwolenniczki dynastii Bourbonów. Ukrywa się pod liberią służącego. Atoli w zamku bawi również młodziutka siostrzenica hrabiny. Leonie intryguje niezwykle ogłdła pseudolokaja. Aż pewnego dnia, kiedy „Karol” ratuje jej życie w czasie konnej jazdy, sprawa wychodzi na jaw: w rezultacie sentymentalnego odruchu spiskowiec zdradza pannę swoje prawdziwe personalia. Powstaje źródło niepokojów. Paniąka jest naiwna, nie doświadczona życiem, nuż wygada się w głupi sposób krążącemu po okolicy i na zamku prefektowi departamentu. Świeżo upieczony baron de Montrichard, człek oddany ciałem i duszą wszystkim kolejnym rządóm, poszukuje właśnie bonapartyzmu Henryka de Flavigneul. Zawiązuje się całkiem dramatyczny konflikt. A oto drugi: dzierlatka i jej ciocia obydwie zakochały się w interesującym spiskowcu. Przebiegłość zręcznego komediora odpowiada Scribe'owi, że można przedstawić te dwa konflikty nie tylko w kolizji katastrofalnej, lecz również w zbawiennej kooperacji. W dodatku pęta się między osobami zaangażowanymi w konfliktach niejaki Gustaw de Grignon, z kolei kochający się w hrabinie. Jest on wręcz stworzony na ofiarę różnych nieporozumień i sprawce wszelkich *qui pro quo*.

Jak widzimy, intryga nienajgorsza. Ale, wiadomo, intryga w sztuce to nie wszystko. A gdzie ludzie?

Znana jest rzeczą, że Scribe założył coś w rodzaju rozbudowanego warsztatu rzemieślniczego, dając swoje pomysły do opracowania bądź odwrotnie oracując pomysły innych dramaturgów. Gdy powołano go do Akademii Francuskiej (bo i tacy kandydaci tam trafiali!) kursował żarcik, że obok jego fotela należałoby postawić ławkę dla współpracowników. Otóż jeden z nich, E. Legouvé, właśnie współautor „Walki kobiet”, powieździł raz w chwili zwierzeń, że Scribe znał ludzi, ale widział ich w gruncie rzeczy tylko jako dramatis personae.

Niemalże więc trudności miał zespół grający u nas „Walkę kobiet”, by tchnąć prawdziwe życie w postacie sztuki najeżonej konwencjami teatralnymi. Z największą werwą i prawdopodobieństwem wykonała swoją rolę niezrezygnowana trzydziestoparolatka Nina Czerna. Z wdziękiem sekundowała jej młodociana Leonia — Joanna Biesiada (szczęśliwy no-

POD KONIEC SEZONU

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

„Ania z Zielonego Wzgórza”

Eleonora Ossowska
(Maryla)
Elżbieta Jagielska
(Ania)



JEDNĄ z pozycji zrealizowanych przez Teatr Osterwy pod koniec sezonu jest dokonana przez Andrzeja Konica adaptacja „Ani z Zielonego Wzgórza” sławnej powieści Kanaadyjki Lucy Maud Montgomery. Jest to klasyczny przykład kobiecego piarstwa, w sensie metody pisarskiej i zaadresowania do określonego odbiorcy. „Anie...” czytają przede wszystkim dziewczęta, wracają jednak do niej panie w wieku dojrzałym, kiedy życie staje się ciężkie do wytrzymania. To powracanie do „Ani...” w trudnych chwilach świadczyłoby o stworzeniu w tej książce pewnego ideału, kobiecej Arkadii na co dzień, mitu, który ujawnia pragnienia nie zrealizowane w świecie współczesnym. Arkadia ta opiera się na szczęściu, wynikłym z dobroci człowieka, i nie tyle na poezji, co na poetyczności, nastroju, wyrażającym dziewczęcość. To nie przeszkadza, aby rzecz była pozytywistyczna w swojej istocie. Zło i nieszczyście zostaje zwyciężone przez dobro. Zwykłość to dzięki odpowiedniemu nasileniu przeciwności nie jest cukierkowo-happyendowe, wymaga rezygnacji, dlatego książka utrzymała się na rynku czytelnictwa do dzisiaj, a nawet rozszerza się na inne środki masowego rozpowszechniania. Dzieło L. M. Montgomery jest typem powieści przygodowej dla dziewcząt, tak jak dla chłopców western. O ile w tym ostatnim dąży się do wytworzenia jak najgwałtowniejszych emocji i piorunującego tempa akcji, o tyle w

powieści przygodowej dla dziewcząt chodzi o wartości bardziej subtelne jak humor, dowcip i wdzięk perypetii i postaci. „Ania...” jest równocześnie „wizerunkiem własnym” i wzorem dla młodocianych czytelniczek.

Nielatwe zadanie miał Andrzej Konic adaptując dla sceny tak znaną powieść, obfitą w wątki i świetne epizody. Trudne było ustalenie kryterium wyboru. W rezultacie do sztuki weszły epizody, które nie wymagają przeniesienia akcji poza dom Cuthbertów i są bezwzględnie potrzebne do pokazania pewnych cech Ani i procesu kształtowania jej osobowości. Ciężkie było zadanie reżysera Zofii Modrzewskiej (skróciła adaptację Konica), scenografa Liliany Jankowskiej i zespołu aktorskiego, konkretyzującego przecież to, co dotąd każdy sobie sam, zawsze w nieco inny sposób, wyobrażał. Trzeba przyznać, że teatr stworzył wizję przekonującą.

Do zasług Zofii Modrzewskiej należy nadanie spektaklowi odpowiedniej zwartości i stonowanie melodramatycznych efektów. W scenografii podobno się trafne odtworzenie atmosfery domu Cuthbertów, może zastosowanie dwupoziomowego rozwiązania dałoby ukinąć pewnego słóczenia, które się odczuwa. Bardzo odpowiada gatunkowi sztuki muzyka Ryszarda Schreitera, rytmiczna, wprowadzająca elementy humoru i zabawy.

Z zespołu aktorskiego największe trudności do pokonania miały Elżbieta Jagielska i Jolanta Bóhdal, grające dziewczęce bohaterki Anię Shirley i Dianę Barry.

Elżbieta Jagielska, którą dość rzadko widzimy na naszej scenie, trafnie uchwyciła istotę, dość nietłatwo do odtworzenia, infantylną Anię. Precyzyjna mimika i gestyka tej aktorki przyczyniły się do pokazania ewolucji postaci. Jolanta Bóhdal położyła nacisk na zabawne cechy Diany — prostoduszność i naiwność, dlatego wniosła do przedstawienia sporo autentycznego humoru.

Maryla Cuthbert to postać równie mocno zarysowana jak Ania. Starcie tych dwu kontrastujących z sobą indywidualności jest najważniejsze, szczególnie w adaptacji Konica, gdzie prawie zupełnie usunięty został wątek Gilberta. Eleonora Ossowska grająca Marylę potraktowała tę rolę nieco drugoplanowo, oczywiście takie ustawienie ról zależało także od reżysera. Andrzej Gazdeczka jako Mateusz Cuthbert za pomocą dość prostych i niezawodnych środków osiągnął prawdziwość tej postaci, „postarzając” mimiką przypominającą czasem Aleksego, najtrudniejsze do opanowania młodzieńcze ruchy zdarzały się rzadko. Dobrze zagrała swoje epizody Wanda Idzińska (Małgorzata Linde).

Wystawienie „Ani...” jest trafną pozycją przedwakacyjną. Młodym ludziom jest potrzebna strawa kulturalna, przynosząca odprężenie.

wy nabytek naszej sceny), nobliwie zaprezentował się w roli obiektu „płomieni” dobroczynnych rywalek Witold Zarychta, bawił ile się dało Janusz Cywiński jako pechowiec Gustaw. Tylko ceniony przez publiczność Jerzy Fitio tym razem niestety nie dokonał wyboru między postacią komiczną a ponurą. W sumie spektakl jest poprawny. Nic więcej.

Estetyczna scenografia Jerzego Toronczyka nie mogła podnieść wydatnie rangi sztuki.

Pozostając z całą czcią dla talentu Adama Grzymala - Siedleckiego, muszę z żalem stwierdzić, iż jego adaptacja nie wniosła do egzemplarza żadnej cenniejszej wartości. To samo powiem już bez ogródek o reżyserii Krystyny Tyszańskiej. Choreografia Jana Fabiana w finale spektaklu nie zawadza, może być lub nie być. Co do muzyki Ryszarda Schreitera, tak pełnego zawsze pomysłów, to chyba była w porządku, jakoś jej nie zapamiętałam.

Wybaczenie autorowi recenzji! O „Zaczarowanym kole” damy krótszą recenzję. W następnym numerze. Drobną uwagą: tytuł francuski sztuki brzmi „Bataille de dames”, a nie „Lutte des femmes”, jak wydrukowano w programie, po którym nadto grasował chochlik drukarski.



„Walka kobiet” w Teatrze im. J. Osterwy. Na pierwszym planie: Joanna Blesniak (Leonida), Witold Zarębski (Henryk de Platinneul), Nina Czernicka (Hrabina), Jerzy Filito (prefekt departamentu) i Janusz Cywiński (Gustaw de Grignon)

BAEDEKER LITERACKI

OLGIERD TERLECKI: KIERUNEK CASINO

Wydawnictwo MON 1964
Książka Terleckiego (pierwsza część cyklu pt. „Polskie drogi”) ukazała się w roku 1957, stanowiła wtedy literacką odpowiedź, pisarski obrachunek z zagadnieniami w okresie poprzednim. Obecnie w roku wielokroć jubileuszowym wznowienie książki tej warto odnotować. Rok 1964 przyniósł m. in. dwudziestą rocznicę bitwy o Monte Cassino, dwudziestą Powstania Warszawskiego i dwudziestą piątą Września. W książce Terleckiego Wrzesień jest punktem wyjścia, Monte Cassino ośrodkiem powieści, a Powstanie, ukazane z daleka, pretekstem do wielu dyskusji bohaterów, a w niektórych wypadkach czynnikiem kształtującym ich postawę.

Postaciami pierwszoplanowymi „Kierunku”... jest kilku podchorążych drugiego Korpusu Wojska Polskiego, ludzi bardzo młodych, którzy jako jeszcze gimnazjaliści brali pewien udział w kampanii wrześniowej. Następnie znaleźli się na terenie ZSRR, gdzie po dwu latach rozmałych doznań trafili do polskiej szkoły podchorążych. Autor lekko dotyka ewakuacji Korpusu do Iraku, szkicowo ukazuje pobyt w Azji, by na koniec jądrem książki uczynić bitwę o Monte Cassino. Tyle o akcji, w tym momencie zasadniczo skończonej. W dalszej bowiem części książki ważniejszy od wypadków jest spłót zagadnień, które bohaterowie w różny sposób chcą rozwikłać. Zagadnienia te streścić wystarczy zmienionym nieco tytułem książki. Przez Cassino, ale dokąd? Odpowiedź zdawałoby się prosta — do Polski. W położeniu jednak bohaterów powieści dochodziły inne pytania: jak, kiedy, którą? Czy jako wojsko, z bronią i w walce, czy też jako grupa zdemobilizowanych cywili. Wrzesień część bohaterów Terleckiego stawia sobie pytanie, do jakiej Polski i to do jakiej w podwójnym znaczeniu: politycznym i geograficznym.

Sprawa Powstania Warszawskiego jest w odczuciu bohaterów książki chyba najbardziej bolesna. Zadają sobie wiele pytań — przeważnie bez odpowiedzi. Najbardziej boli ich własna — mimo wspólnego uzbrojenia — bezsilność. Książka jest pełna gorzkości, bólu z powodu krwi wylanej na darmo, z powodu ludzi wprowadzonych na bezdroża.

ALEKSANDER MINKOWSKI: KWIATY DLA KLEMENTYNY

EDMUND NIZIURSKI: WYRAJ
Wydawnictwo MON 1964

Obie pozycje są powieściami o tematyce partyzanckiej. Łączy je zresztą także sposób ujęcia tematu. Minkowski ani Niziurski nie dali (i chyba nie zamierzali dać) czytelnikowi powieści wojenno-przygodowych, do których przywykliśmy ostatnio. Obaj, choć element przygody gra w ich książkach ważną rolę, podjęli trud napisania powieści raczej psychologicznych. Tapraty bohaterów: Hugona u Minkowskiego i doktora Stajnego u Niziurskiego są właściwie tylko pretekstem do analizy ich stanów psychicznych. Oczywiście psychologia jest tu podszewką, którą nie każdy zechce i potrafi dojrzeć — na pozór w obu książkach dominuje przygoda, lecz bez psychologicznej podkładki „Kwiaty...” i „Wyraj” byłyby może nawet... naiwne. Pełne odczytanie tych powieści pozwala widzieć w rytmiku obu bohaterów pewne cechy ogólnoludzkie, ponadczasowe. Takie zagadnienie, jak poczucie obowiązku, odpowiedzialność za życie człowieka, odwaga, zaufanie — to sprawy, którymi interesują się w swych powieściach Minkowski i Niziurski. Realia w ich powieściach są — jak mi się wydaje — sprawa wtórna, są one zresztą zaledwie naznaczone, naszkicowane. Obie książki mogłyby równie dobrze dotyczyć np. Powstania Styczniowego — istotna ich problematyka byłaby w każdym wypadku równie interesująca. Istoty zaś książek obu autorów na pewno nie stanowi moment historyczny, tylko przeżycia bohaterów w nich usytuowane.

BOHDAN ARCT: CENA ŻYCIA
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1964.

W przeciwnieństwie do obu książek przedstawionych powyżej dominującą cechą ostatniej powieści B. Arcta jest właśnie

przygoda i to przygoda zupełnie egzotyczna. Autor „Ceny życia” wydał w ciągu ostatnich kilkunastu lat szereg pozycji: były to wspomnienia z walk lotników na Zachodzie, powieści i nowele lotnicze, opowiadania dla młodzieży. Tematykę nie-polską podjął Arct po raz drugi (por. „Kamikadze boski wiatr”, LSW 1961 — powieść o lotnikach japońskich) powracając do zagadnień dalekowschodnich. Tematycznie „Cena życia” przypomina w pewnym stopniu P. Boullé'a: „Most na rzecę Kwai”, (swego czasu sfilмовany i spopularyzowany znaną piosenką). W obu wypadkach terenem akcji jest Daleki Wschód, tematem wojna z Japonią, a bohaterami angielscy oficerowie wzięci do niewoli przez Japończyków. Na tym się jednak podobieństwa kończą, gdyż Arct w swojej książce organizuje ucieczkę grupy jeńców z japońskiego obozu, a następnie kreśli dzieje ich zgoda filmowych przygód w prawie, że Odyseuszowej (z nimfą, a fakcie) wędrówce. Zaletą książki jest szybkie tempo, filmowa zmienność zdarzeń, dobre sceny batalistyczne, zwłaszcza w początkach, w opisach walk lotniczych. Książka przynosi męczące realia, rozszerza zasiegi naszych wyobrażeń o wojnie z Japonią. W sumie: interesująca powieść przygodowa, dobrze napisana, prawie bez zmian scenariusz do filmu.

B. K.

(Dokończenie ze str. 10)

„UL”-i tym, że to jest Techniczny Uniwersytet Ludowy. Uruchomiony częściowo w maju, pełną parą ruszył dopiero na wiosnę przyszłego roku. Podczas kilkumiesięcznych kursów wiejska młodzież zapoznawać się będzie w Gardzienicach z radiotechniką i elektroniką. Gardzienicki uniwersytet jest szczególnie zamienny dla współczesnej wsi, zachodzących w niej przemian, kiedy radio, telewizor, a nawet lodówki wchodzi coraz częściej w skład normalnego wyposażenia wiejskich mieszkań.

Przy jednocześnie słabo jeszcze rozwiniętej sieci usług na wsi, działalność TUL nabiera ogromnego znaczenia. Oczywiście po ukończeniu kilkumiesięcznego kursu nie otrzymuje się żadnego świadectwa upoważniającego do uprawiania „zawodu” i podjęcia pracy zarobkowej, ale TUL daje domorośłemu majsterkowiczowi niezłe rozeznanie w przedmiocie i pozwala na bardziej niż dotychczas fachową konserwację i reperację własnego sprzętu radioczo elektrotechnicznego. Zresztą w trosce o rozwinięcie sieci usług na wsi program nauki na TUL jest tak pomyślany, aby po jego ukończeniu absolwent mógł zostać przyjęty na kursy kwalifikacyjne w Zakładach Doskonalenia Rzemiosła.

Władysław Gomułka mówiąc na XIII Plenum o formowaniu świadomości młodego pokolenia w duchu socjalizmu stwierdził, że organizacje młodzieżowe mają w tej dziedzinie niemałe osiągnięcia. Nie podejmują one jednak dostatecznych wysiłków, nie zawsze troszczą się o socjalistyczną treść swej pracy kulturalno-oświatowej i rozrywkowej. XIII Plenum wezwało do przezwyciężenia tych słabości.

Tezy XIII Plenum znalazły odbicie w programie wiejskich kursów oświatowo-politycznych, zatwierdzonych przez ZW ZMW w Lublinie. Program został

tak pomyślany, by ukazywał dynamikę przemian społeczno-politycznych w Polsce i na świecie. Objął cztery cykle tematyczne: „Świat się zmienia”, „Kraj się zmienia”, „Wies się zmienia”, „Zmieniamy siebie” (warto tutaj przytoczyć niektóre zagadnienia wchodzące w skład cykli, dyskutowane w



ciągu ostatnich miesięcy przez młodzież: „Pokojowe współistnienie dwóch systemów”, „Komunizm we współczesnym świecie”, „RWPG a EWG”, „Tendencje rozwojowe we współczesnym Kościele katolickim a polityka episkopatu polskiego”, „Ustrój PRL wcielanie zasad demokracji socjalistycznej”, „Gospodarka Polski Ludowej”, „Młode pokolenie w Polsce Ludowej”, „Drogi do unowocześnienia rolnictwa w Polsce”, „Zmiany w moim środowisku w okresie XX-lecia”, „Nasze postawy ideowe i światopoglądowe”).

Podstawą programu szkoleniowego był w bieżącym roku cykl „Kraj się zmienia”. Wiał się on bowiem z obchodami dwudziestolecia Polski Ludowej. Młodzież zapoznawała się z najważniejszymi osiągnięciami kraju w przemyśle, rolnictwie, nauce, kulturze, na arenie międzynarodowej, w dziedzinie spraw socjalno-bytowych. Starano się zresztą osiągnięcia te pokazywać i rozpatrywać nie tylko w skali krajowej, ale i na najbliższych przykładach z własnej wsi czy własnego regionu. Nie dość na tym. Ponad 6 tysięcy osób z ZMW bierze udział w szkoleniu par-

Brak metody

I LEKROC z okien pociągu wjeżdżającego w obręb wielkiej Warszawy patrzę na dookolne plantacje słynnych badylarzy, zaczynam odczuwać ucisk w okolicy woreczka żółciowego. Bo ja mieszkam w Kielcach. Mieskie całkowicie wyżyłymi talentów ogrodniczych. Wokół stolicy rośnie salata, szczypior, pomidory natomiast Kielce otacza tradycyjne żyto i owies. Podwarszawscy badylarze uczulili spore fortuny na rzodkiewce, a w moim mieście jakoś nikt nie kwapi się troszkę pozarabiać. Chociaż w tym szaleństwie czterech zbóż wciśniętych się na peryferie miasta jest zaprawna metoda. Zarabia się nie tylko wtedy, kiedy można dużo sprzedawać. Niezłe zarobki przychodzą i wówczas, gdy brak towaru podnosi cenę. W Kielcach salata, pomidorki zawsze są droższe niż w stolicy. Nic dziwnego, mało tego, przywozi się z odległości setek kilometrów, więc musi kosztować.

Ogrodnicy antytalenty władz miejskich są zastanawiające. Kilka lat temu ktoś zaprzagnął rozwiązać problem warzyw dla miasta i rozpoczęto budować dużą szklarnię komunalną. Władzom ciężko pieńiądze, ale obiekt okazał się nieprzydatny. Zła ziemia, a ponadto w tę właśnie stronę poszła zabudowa. Nowe osiedla usiłują zatłamsić azył nowalijek. W tym samym czasie urbanisci miejscy prześcigają się w likwidowaniu nielicznych prywatnych szklarni. Niby to słuszne, aby plac na terenach uzbrojonych przeznaczyć pod budowę, ale jeżeli na tym miejscu było gospodarstwo ogrodnicze, oznacza to, że problem mieszkaniowy rozwiązuje się kosztem problemów racjonalnego życia. Wiele jeszcze różnych salaciano-pietruszkowych zarzutów można by postawić. Tak czy owak, gdy przejeżdżam przez królestwo warszawskich ogrodników, boleśnie odczuwam kompleks prowincji.

Kielce rozwijają się. Nie tak dawno wśród ludzi zylanych tu na służbowy pobyt krążyło powiedzonko: do Kielc to na szmela, a dziś znane osobistości powiadają, że jeżeli pragnie się zobaczyć, ile w ciągu 20 lat zdaliśmy zmienić w Polsce na lepsze — koniecznie trzeba zobaczyć Kielce. Dziękując w imieniu licznych miejscowych tetryków, nie mogę obejść się jednak bez tyżeczki dziegciu.

Zmienić, tośmy już wiele zmienili, ale metody ciągle nam brak. Nikt nie przewidział, że ku nowej szklarni pójdzie budowa największych osiedli, nikt nie postarał się, aby koordynować w mieście prace, co pozwoliłoby uniknąć zrywania raz położonego asfaltu, nikt nie wpadł po rozum do głowy, że nowa sieć wodociągowa musi mieć taki przekrój, aby pomieścić coraz większe masy wody, bo miasto nie stoi w miejscu, lecz rośnie. Bywa i tak, że na dwóch sąsiednich działkach budowlanych powstają dwie kotłownie, choć wcześniej dogadanie się inwestorów pozwoliłoby wzniesić taniej jeden wspólny obiekt. Jak to się nazywa?

No właśnie, koordynacja. W dużej a więc trudnej do ogarnięcia stolicy, takie rzeczy na ogół opanowano, zaś w statystycznych Kielcach — jeszcze nie. Metody ciągle brak. A może działa takie maleńkie prowincjonalne sknerstwo? Gdyby wzorem Warszawy lub Łodzi powołać komórkę koordynacji inwestycji, pociągnęłyby to wzrost wydatków na administrację powiedzmy, o dwa — trzy etaty. Urzędnicza kalkulacja powiada, że liczy się tylko to, na co jest przepis. Przepis głosi, że nie wolno zwiększać zatrudnienia w administracji, natomiast nie ma jeszcze przepisu, iż brak koordynacji zaprzeczającej miliony złotych jest niedozwolony. Pisać o tym, owszem, to się praktykuje, ale krytyka to jeszcze nie przepis. Na ten poczekamy sobie. Zeby się nam nie nudziło — porachujmy tymczasem, ile złotych się marnuje.

Jędrzej

tyjnym i ZSL-owskim. Jednocześnie ich przedstawiciele nawiązują ścisłą współpracę z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, wspólnie ze „Sztandarem Ludu” ogłaszają konkurs: „Wies, w jakiej chciałbym żyć i pracować” (wpłynęło ponad 160 prac), od listopada 1963 r. organizują w ciągu kilku miesięcy 920 spotkań z działaczami społecznymi i politycznymi. A 26 stycznia, w Lublinie otwierają rok XX-lecia PRL „Spotkaniem dwóch pokoleń wiejskich”. Uczestniczą w nim ci, którzy urodzili się już w Polsce Ludowej i ci, którzy prowadzili działalność społeczną na wsi jeszcze przed wojną.

„Należy stwierdzić, że działalność ideowo-polityczna naszej organizacji w ostatnim roku oświatowym była dość bogata. Przyniosła ona znaczne ożywienie organizacyjne. Czego wynikiem było chociażby przekroczenie w dniu 24.V.64 r. liczby 60 tys. członków ZMW w naszym województwie. W czasie półroczu (...) do PZPR zostało przyjętych 1.097 członków ZMW, a do ZSL 437” — mówi „Informacja o pracy ideowo-wychowawczej w ZMW w woj. lubelskim”. W innym miejscu wymienia się zobowiązania, inicjatywy i czynności młodzieży, z aptekarską dokładnością wliczyła się roboczo godzin, roboczo dni i zarobione złote, które złożyły się na prezent XX-lecia od ZMW. Jest jednak jeszcze i taki, jakiego nie można wyrazić cyframi: na przykład we wsi Sokółka, w powiecie puławskim, znajduje się nieczynna od lat świetlica. Więc kiedyś zbiera się miejscowa młodzież i własnym pomysłem doprowadza ją do porządku. Potem składają się na kupno wspólnego telewizora do świetlicy. Potem, wszyscy młodzi ludzie z tej wsi opodatkowują się, aby w ten sposób stworzyć własny fundusz kulturalny...

Mirosław Derecki